

Marian Pankowski

Z Auszvicu do Belsen

[Przygody]

Czytelnik

Warszawa 2000

ISBN 83-07-02759-4

Auszvic.

Tylko to słowo oddaje historyczną i emocjonalną tożsamość obozu zagłady, założonego przez okupanta na naszej ziemi.

Podczas gdy nierozmyślne używanie, w tym wypadku, geograficznego terminu Oświęcim daje w wyniku nazwę ambiwalentną.

Niemieckość Auszvicu to również gwałt języka esesmanów i kapów; stąd też jego ślady w niniejszym utworze.

Motto jest hołdem złożonym Polakowi Europejczykowi, który światłym słowem nazwał absurdalność niebożego świata.

A treść przygód jest ludzka, ludzka...

Bruksela, sierpień 1997

... Wszystkie światy lecą to na dół , to w górę. Człowiek każdy, robak każdy, krzyczy „Ja Bogiem”. I co chwila jeden po drugim konają. Gasną komety i słońca. Chrystus nas już nie zbawi, krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił w otchłań.

Czy słyszysz, „jak ten krzyż, nadzieja milionów, rozbija się o gwiazdy, łamie się, pęka, rozlatuje w kawałki, a coraz niżej i niżej, aż tuman wielki powstał z jego odłamków...

Zygmunt Krasiński, Nie-Boska Komedja, Paryż 1835

Wrócił mi dziś Szymek pod czoło, tu w przestronnej willi pod Brukselą, gdzie, jedyny goj, sylabizuję znaki judejskiego obrzędu obrzezania.

Patrzę na ręce rabina, jak synchronizuje zabieg chirurgiczny ze śpiesznym recytatywem.

Wzruszenie obecnych niemalże religijne, choć nikt spośród nich już nie wierzy, że Bóg ośmieliłby się dziś zstąpić na górę Synaj i przemówić do Izraela, jak gdyby nigdy nic...

A maleńki Samuel - w płacz.

— Lechaim! Lechaim! Lechaim! - Jak oni, wznoszę kielich i życzę losu szczęsnego malutkiemu mężczyźnie.

Płynę w ich czasie liturgicznym. Łodzią czarnolesską płynę w sąsiedztwie ich tratwy zbitej z drzewa cedrowego, które Hiram dał Salomonowi

według wszystkiej woli jego...

Myśl porównawcza: oni inaczej niż my

wają ogniwa pokoleń. Nasz chrzest Janowy daje obietnicę zbawienia.

U nich krew noworodka jest znakiem przymierza z Panem, wczoraj, dziś i jutro, mimo Jego

niestałości...

Kiedy Szymka wyczytali w czasie apelu, nie wiedziałem co mu powiedzieć. Uczepiłem się słowa zwykły i powtarzałem.

- To zwykły transport. Do fabryki was zawiozą albo na budowę. Zobacysz, że zwykły - i dodałem - A jeśli nawet pod bomby alianckie... to i tak nie gaz i komin.

Kiedy kolumna haftlingów szła w stronę bramy żeby na stację, szukałem jakiegoś słowa, żeby w nim uwięzić cisnące się do gardła wzruszenie. Pomyślało mi się kumpel. Sztubackie. Sojusznik? Nie. To nie to. Wyłącznie ideologiczne, więc niepełne. Zaczęły hurmą pchać się inne słowa, ale górę wzięła powściągliwość; zostałem przy sojuszniku.

Co nas zbliżyło? Ten sam blok i ta sama sztuba. Ale też mowa polska, którą posługiwaliśmy się ze zmysłową przyjemnością. A może to, że ja byłem smagły i miałem orzechowe oczy pod ciemną brwią, a Szymek niebieskie, ale to niebieskie..

Obaj byliśmy ideowo przywiązani do lwowskich „Sygnałów”. Bliski był nam radykalizm pisma walczącego o równość obywatelską mniejszości narodowych, protestującego przeciw krzywdzie chłopów i w ogóle linia artykułów piętnujących faszystowskie ciągoty „Polski pułkowników”.

W tym dniu straciliśmy się z oczu.

Od tamtego czasu upłynęło, minęło i przeminęło wiele, wiele lat. A tu list z Monachium. Koperta welinowa z nadawcą Herr'em, doktorrem, dyrektorem wielkiego szpitala. Mój Szymek! Odnalazł me ślady w jakimś czasopiśmie. Wzruszony, przypomina „tamte chwile” i zaprasza. Dom, żona i dzieci.

Zatrzymałem się jednak w hotelu. Odświeżyłem się - mówiąc z francuska - i poprawiając bez przerwy jedwabny krawat, wychodzę przed hotel. Wypatruję, skąd Szymek nadejdzie. Szymek przyjechał. Z perłowego mercedesa wysiadł pan dobrze ciałem nabity. Szukam oczu Szymkowych, a tu nic, tylko ciężkie powieki. Idzie w moją stronę, ale coraz wolniej, bo strzepuje popiół krematoryjny ze swej kremowej, alpakowej marynarki.

Solidarnie czyni? gest symetryczny. Dłońmi przecieram twarz chrześcijańską, żeby się pozbyć bladeści co mnie naszła na widok Łazarza cuchnącego śmiercią żydowską.

I dopiero kiedy padamy sobie w ramiona i ściskamy się, jak duże dzieci zawstydzone swą cielesną bliskością, widzę znowu tamte oczy barwinkowe.

Ciągle jeszcze stoimy. A kiedy chcemy ruszyć, nasze stopy na gwałt szukają ziemi solidnej. Bo my dwaj na śliskim progu, niby tutejsi, spod słonka i skowronka, ale chyba raczej stamtąd, z popiołu, co w snach naszych nie przestaje huczeć pustynią pełną imion.

Teraz już dom. Otworem na wszystkie życliwości świata dzisiejszego. Żona, córka i syn. Patrzą na mnie, na drugiego uratowańca z Wyspy Płomieni. Patrzą na siwą ilustrację, w sam raz do reportażu o harcie ducha i walce, o cierpieniu i poświęceniu. „Ten tu profesor i mój ojciec, oni tam t o przeżywali” - pomyśli córka.

My z Szymkiem widzimy, j a k żywi na nas patrzą. Słyszemy, że to przez nich cisza nastąpiła. I wiemy, jak im teraz strasznie głupio, bo nie potrafią nas definitywnie umiejscowić.

Na szczęście dorodna córka pomału się podnosi, pomału, i biodrem się oprze o ramię ojcowe. A dłonią delikatnie jego kark obejmie. Garstka sekund, nie dłużej, tej urody pogody kojącej kobiecej, bo Szymek, jak przebudzony, od stołu się dźwiga, siny, cuchnący trupią fosą, i goły. Rękę nie dopaloną nad stół wyciąga, bo chce nią zgarnąć łososiową różę z białego talerza.

Ja też nie od macochy. Wstaję, golas nie odwieszony, ręce na nie obrzeżanej kuście katolickiej skrzyżuję, a tu po wino musujące chciałbym sięgnąć... ale jak tu równocześnie zasłonić dziurkę po kuli w potylicy?

A żywi strasznie udają, że nic nie widzą, że nic się nie stało, że my dalej sobie siedzimy i do żarcia ostro się zabieramy. Niemniej cisza zapadła. To już nie przysłowiowa okazja dla anioła, żeby się popisał swym przelotem tuż nad nami, to... przepaść w ich ziemskim czasie, wywołana naszą golizną, naszym odorem spaleniźny, czego nie potrafią odziać żadną metaforą.

Od stołu się zerwą, udając że wierzą, że my chcemy jestku i pitku z ich rzeczywistości; więc dalej talerze pod nos nam podsuwać... ale na odległość, żeby granicy nie przekroczyć, za którą aleja wprost na krematoria, nad którymi w szarpjach wisi niebo monoteistyczne.

Nie czytam cudzych wspomnień z kacetu. Od pięćdziesięciu lat odmawiam wywiadów i nie reaguję na ankiety badaczy niemieckich obozów koncentracyjnych. Im chodzi o fakty, wciąż te same które obciążąłyby poprzednich zwycięzców upodlonych rolą oprawcy. „Czy Pana (Panią) torturowano?” - Owszem, i to jeszcze jak! - miałoby się ochotę odpowiedzieć... Formularze abstrakcyjne i manichejskie. Pytania wkleśłe. Wystarczyłoby w nie wlać trzyletni gnój moich lagrów, szufłę

gipsu dorzucić, żeby historyk mógł podnieść do pionu figury a la Abakanowicz, godne w sam raz muzealnego przytułku.

Poza tymi formularzami nikt mnie o nic nie pytał. Ni bliscy, ni dalsi. Zresztą wiadano wszystko i wiedzę o obozach koncentracyjnych streszczano przymiotnikiem „straszny”.

Czasem jednak nachodziło mnie zwątpienie. Bywało, że pomyślę:

- A gdybym tak spróbował to wszystko opisać? Przecież ja tam byłem, a ci tutaj ciągle szukają świadectw...

I wtenczas jawiła mi się przekornie scena poranna z mego auszwickiego komanda Schlosserei, komanda remiechów, jak mówił o nas blacharz Stasiek, rodem z warszawskiego przedmieścia.

Więc rano. Niemal setka haftlingów stoi twarzą do środkowego przejścia przez naszą ślusarnię; plecami do warsztatów i maszyn. Czarno-winklowy kapo ryknie Mutzen ab! Strzeliwszy czapkami o udo, wyprężamy się na bacność. Naszego Unterscharfuhrera jeszcze nie widać; teraz pewnie mija odlewnię, gdzie w pierwszej szopie chłopaki odlewają ruszty do pieców.

Jest. Wchodzi do naszej hali. Przystanie, żeby wysłuchać raportu kapy, połyskującego łysą pałą kryminalisty. Wcięty w pasie, opięty mundurem, w czapce o daszku podniesionym zawadiacko, odbiera defiladę Polaków, Niemców i Ślązaków. Dziś jest w dobrym humorze. Nie krzyczy. Minał już kuźnię, przystanął na wysokości blacharzy. Trąci kciukiem w brzuch wypięty niższego i niby groźnie:

- Was sagst Du?!

Wtedy Stasiek z Bródna, bo to on był tym niższym, jeszcze bardziej brzuch wypręży i jednym tchem wyrecytuje ulubioną wyliczankę esesmana:

— Pierdol w dupę i podskakuj! Panie szefie...

Tak pozdrowiony Unterscharfuhrer spojrzy na warszawiaka i ciut-ciut się uśmiechnie, że tylko blacharze to widzą. Pogodny i lekki idzie dalej, mijając bormaszynę, przy której za chwilę będzie udawał pomocnika, marszcząc raz po raz twarz z wysiłku jak przystało na ciężko pracującego haftlinga.

Teraz smukły podoficer mijają majstrów od koronkowej roboty. Oni to odkuwają stoliki i żyrandole do mieszkań esesmańskich. Dostępują też wyżyn alchemii, kiedy garść koron i mostków żydowskich przemieniają w sowity sygnet esesmański, w pamiątkę z Sorrento, spod miejscowego Wezuwiusza, przez polskiego złotnika kunsztownie wygrawerowaną.

Nasz Unterscharfuhrer już skończył obchód. Kapo warknął

- Mutzen auf! - i żeby do pracy.

Wkładamy czapki. Już słyhać pilniki i młotki bębniące po blasze, no i duży kowalski młot.

Nasz esesman strasznie krzyczał. To prawda. Wyzywał nas za pomocą tego samego przymiotnika polnisch, który łączył z gnojem, kałem, ale najczęściej z ssakiem o wydłużonym ryju, pokrytym szczecina. Ale w dni, kiedy przystawał przed blacharzami, przestawał nas policzkować swym histerycznym krzykiem. Włączał się na moment w atmosferę warszawskiego przedmieścia, jak gdyby od czasu do czasu lubił sobie trzepnąć lampkę polskiego bimbru. Wtedy oczy jego robiły się jaśniejsze, ich stalowość gołębiała. Odchodził milczący. I to milczenie, ten moment postoj u blacharzy były ludzkim słowem w jego mowie

gwałtu i poniżenia, którą nas obrzucał. W takich razach odpowiadaliśmy mu gładką twarzą dzieci ze szkolnego podwórza: dziś nasza pani się nie gniewa.

Kapowie rzadko nas bili. W ślusarni było sucho i ciepło.

I co? Tego przecież nie mogłem posłać docentowi X., autorowi wspomnianego kwestionariusza.

Sam przyjazd do Auszvicu utkwiał mi w pamięci, jako dar oddechu. Ledwie nasza ciężarówka stanęła, ledwie strażnik z eskorty więziennej odpiął lepką od naszego potu plandekę, powitało nas wycie esesmanów.

- Rrrrrrausss! Schnell... schnell!

Wyskakiwaliśmy niezdarnie z ciężarówki wprost pod metrowe pały. Upadłem. Osłaniałem głowę, jak mogłem. Zerwałem się i w stronę bramy! Kiedy dołączyłem do stojących i po psiemu zziających, po raz pierwszy odetchnąłem. Zaciągnąłem się powietrzem, przestrzenią. Zabolało ramię. Skopał mnie, kiedy leżałem.

Naraz zdumienie. Za bramą widać miasto. Domy z czerwonej cegły, jeden za drugim. Wychodzą z nich ludzie w białomodrych ubraniach. Inni znów pchają wózki ulicą. Tam i sam żołnierz.

Po słodkawej duchocie celi, gdzie dystans między oknem i kibelem wypełnialiśmy dyskursem zaprzeczania rzeczywistości, a głodowi rzucaliśmy fantazmaty uczt wielkanocnych, znalazłem się na świecie o proporcjach szczodrych.

Rzędy surowych budynków miały swoją ulicę, ulica swoich przechodniów. A wszystko owiane hojnym powietrzem.

Uczucie ulgi, szukanie dobrych wróżb. Mam Dali mi numer 46333! Te trzy trójki. Nomen omen, byle tak dalej.

Przypadek. Przypadek?

Tytuł tego ustępu jest podwójny. Pierwszy, twierdzący, pochodzi ode mnie, zaś pytajny dodałem, żeby uszanować wiarę mamy, że to dzięki jej „paciorkom” przeżyłem trzy lata obozów koncentracyjnych.

Było to pierwszego dnia, kilka godzin po przybyciu naszego transportu. Zakwaterowano nas na jedenastym bloku. Jeszcze nie mieliśmy przydziału do komand. Tymczasem zagonili nas do noszenia dachówek na piętro. Przez godzinę uginałem się pod ciężarem trzech dachówek, niezdolny do wzięcia czwartej. Popędzał nas esesman, za przykład dając Polaka z zielonym winkiem, złodzieja, skurwysyna paskarza, co nie zdążył schudnąć i po pięć dachówek taskał!

Potem była gimnastyka na podwórzu bloku, przysiady, skakanie żabką... Stary sierżant wstać nie mógł. Ja, dzięki porucznikowi sadyście w polskiej podchorążówce piechoty, już to znałem. Wiedziałem, że to sprawa zaciskanych zębów...

Dali nam po pajdce chleba i jakąś lurę brunatną. Zjadłem, popiłem i razem z innymi wyszedłem na ulicę. Szliśmy inaczej niż więźniowie już „zadomowieni”, wolniej, rozglądając się. W pewnej chwili stanęło przed nami dwóch więźniów. Jeden z nich pokazał koledze mój numer.

- Zobacz, od wczoraj... cztery tysiące!
- Nie licząc tamtych - dorzucił drugi, wymownie spojrzawszy w niebo.

I odeszli, nie zaszczyciwszy nas choćby uśmiechem czy słowem otuchy. Nigdy się nie dowiem, czy chcieli rzeczywiście wyrazić swe zdumienie nad galopującym przyrostem ludności, czy też po prostu podkreślić swe starszeństwo?

Dalej szedłem już sam, zajęty patrzeniem i mijaniem. Naraz wzdrygnąłem się. Na widok bramy. I od razu w tył zwrot, żeby nie patrzeć na żwir, którego miałem pełne garście rano, zanim się poderwałem, kopany przez bydlaka w mundurze. Zawróciłem, a tu drogę mi zastąpi haftling elegancki, jota w jotę jak tamci dwaj od demografii. Poznałem go, dopiero kiedy się uśmiechnął, szeroko, pełnymi policzkami. Był to Z., dentysta, kumpel mego brata. Miał auto, co przed wojną było niemałym atutem w strategii uwodzenia w podkarpackim miasteczku. Polowali często razem, dzieląc się żeńskim łupem.

Z. pracował tu w swoim zawodzie, leczył zęby esesmanów. Widziałem, że mówiąc, pytając, patrzy na mnie, jakby co chwila musiał mnie na nowo identyfikować... Naraz, jakby sobie coś przypomniał, sięgnie do kieszeni.

- Trzymaj... - Wsunie mi w garść płaską puszkę sardynek. - Zajdź jutro na blok - wskazał ręką za siebie - odłożę dla ciebie zupę... ja i tak jej nie jem... - roześmiał się - „wiktuję się” u esesmanów.

Poklepał mnie po ramieniu. Widziałem jego twarz; uśmiech nie potrafił rozproszyć na niej powracającego smutku.

Na blok wracałem już nie ten sam. Wsunąłem rękę do kieszeni. Puszka miała ostre brzegi. Namacałem występ blaszany. „Czym ja to otworzę,

przecież nie łyżką?" Naraz poczułem zmęczenie i ból w ramieniu. „Sardynki mnie wzmocnią. Bez chleba? Sama oliwa". Uczucie mdłości. Koledzy z transportu też wracają na blok. Odurzeniśmy

powietrzem i na ostatnich nogach. Do tego jeszcze schody. Muszę się oprzeć o ścianę. I myśl „mam". Odetchnąłem głęboko i wchodzę do sztuby. Sztubowy stał przy szafce, odwrócił się.

- Czego?

- Panie sztubowy - i nie wiem, jak sprawę wytłumaczyć, toteż po prostu daję mu puszkę sardynek. Na ostatnim podejściu schodów zdałem sobie sprawę, że nie jestem w stanie zjeść tego smakołyku; wyposzczony organizm nie zniósłby szoku.

- Du hast das gestohlen!

- Nein. Nie ukradłem - mówię po niemiecku

- ja to dostałem od mego krajana.. On jest dentystą u esesmanów... Dziś... nie potrafiłbym tego zjeść... -I uśmiecham się niewesoło, na wszelki wypadek.

- Ja - zbył mnie monosylabą, a sardynki rzucił stojącemu obok pipłowi.

Nazajutrz w południe, kiedy przyszła moja kolej, wlał mi chochlę zupy i rzucił:

- Jak skończę wydawanie, wróć tu z miską.

Tak wyglądał mój pierwszy dzień w Auszwicu.

Na ziemi leżałem, z ziemi powstałem, powietrzem szerokim się upiłem, krajana spotkałem, w łaski sztubowego się wkupiłem... Przypadek, czy nie przypadek? Komentować? A quoi bon?

Rodacy ci co tu są od dawna, nie liczą się ze słowami, kiedy zwracają się do nowo przybyłych. Jeszcze ani razu nie wymówił znanego mi biernie słowa lagier, a oni chlapią trzema innymi wyrazami, określonymi na przemian pasiakiem zasranym na purpurowo i dymem słodkawym, jak z indyjskich konopi. Mówią muzułman, rozwałka i komin.

Przyśpieszam tok myśli, żeby zostawić te słowa za sobą, mewy żarłoczne i trywialne co kalają mój żagiel rozpięty na połów Boga opatrnościowego, co przelatuje tędy na pewno, z brokatowym worem, po codzienny plon chrześcijańskiego cierpienia, które cenniejsze jest niż złoto, mirra i kadzidło.

Uciekam od tych słów, ale one brzmią i brzmią, one paradują, pyszną się swą grozą ujętą w obrazowe skróty.

- Patrz - mówi Z., wskazując podbródkiem siedzącego pod blokiem haftlinga - on chyba z twego transportu... nie, trochę wcześniejszy... a już muzułman.

Muzułman jest widoczny, jest niechcący ostentacyjny, istny homme-sandwich, reklamujący ostatni etap koncentracyjnego bytu. Musowo należał do komanda łopaciarzy gruźliczejących na deszczu, dreszczu i mrozie. Pewnie próbował c swą skórę-i-kości workiem z cementu, wepchniętym pod bluzę. A przecież wiedział, że tego robić nie wolno. Za to skopał go na sino esesman i tym samym zapoczątkował proces muzułmanienia.

Dla esesmanów muzułmanie są masą odrażającą. Ich niezdolność do musztry apelowej rzuca się w oczy. Podaje w wątpliwość walory edukacyjne naszych umundurowanych wychowawców.

Ale nade wszystko muzułman to człowiek, co przecieka. W szpitalu dostał od sanitariusza garść węgla plus zalecenie.

- Wpieprz to, ale pomału... i przegłoduj się, brachu, dwa, trzy dni...

Gadanie. On już na pajdkę wieczorną się rzuca, połyka, i oczy mu się palą z gorączki. Wyszedł na lagier. Snuje się blady, preraphaelicki, i nadal się z niego leje. Brzydzę się nim, ale jeszcze się zmuszam do myśli, że to „nieszczęśnik skazany na rychłą śmierć”.

Ale równocześnie czuję staroświeckość, nieadekwatność wymuszonego na sobie słownictwa. Znam przecież porzekadło miejscowe, co kapitalnie streszcza fakt i poucza, jak do niego podchodzić. "On już złote bańki dupą puszcza".

Niemalże dziecinne, ludyczne, istna plansza antropologiczna z legendą pod obrazkiem Auszwicki muzułman.

Zresztą w plemionach koczowniczych mężczyźni unikają kobiety miesiączkującej, skoro do niej „przyszedł pan z malinowym sokiem”, jak rzekła półgłosem do swej przyjaciółki moja pierwsza miłość, sześćdziesiąt lat temu.

Po trzech dniach pomyślałem sobie "poniecham ucieczki przed brutalnym w swej kwiecistości słowem auszwickim. Niech mnie doścignie! I co z tego, że mnie doścignie? Najwyżej mnie doścignie i tyle".

Lecą tygodnie, lecą miesiące. Dokarmiany przez Z., już na dobre zadomowiłem się w kacetowej codzienności. Obdarzony dziedzicznym optymizmem i sztuką życiodajnego aktorstwa, maszeruję junacko, „ze śpiewem na ustach”, niczym stary numer. Jeden z tysięcy. Esesmani

patrzają na nas chyba z zadowoleniem, na pogłowie nieprzeliczonej stadniny, wykonującej nakazane obroty i rżącej na ich rozkaz.

A inni, do których los się nie uśmiechnął, głodują, chorują. Nieliczni spośród nich wracają z Krankenbau do naszej kolumny janczarów. Wtenczas w Auszwicu, jak i dziś na świecie, kiedy to piszę po stu latach, odkąd ludzie na ziemi, jedni... sind im Lichte, a innych... sieht man nicht.

Już z pogodą ducha witam dalsze dwa słowa straceńczego dialektu. Rozwątka brzmi zdrobniale, rzekłbyś jeden z etapów pracy piekarza, nazwany familiarnie. A tu chodzi o rozstrzeliwanie. „Janek poszedł na rozwatkę”. Słowa dochodzą z sąsiedniej koi. Jeden głos jakby smętny, pszczoła uwięziona za firanką, drugi silący się na dowcip, raz po raz wpada refrenem do relacji kolegi.

I tak przez KOMIN... i tak przez KOMIN!

Janek poszedł na rozwatkę, jakby poszedł na ryby, na grzyby, na maliny-dziewczyny... A do tego czasownik wyraża gest samodzielny, samowolny, wbrew oczywistości!

Stchórzyć? Nie dać przystępu trzeciemu słowu, co lepiej niż modlitwa streszcza pionowość naszego losu? Przymknąć myśl i nie dopuścić do niej jak najbardziej ostatecznego zwrotu? Może mamę przywołać z odsieczą, ze stożkiem turkusowego jałowca na jasnej dłoni, na szczycie którego sójka żongluje farbami rodem z odpustu?

Spojrzę na siebie oczami tego z sąsiedniej koi, a potem swoimi, i wiem, że... jakbyś do tego wszystkiego podchodził, czy nie podchodził, naczelnym tematem tutejszego dyskursu musi być komin!

Jeszcze myśl moja nie domyśliła się do końca, a tu komin zadudnił! Spojrzę w stronę bramy. Nikogo. To dudnili Żydzi holenderscy.

Pytasz mnie, Elisabeth:

- Tam... w Auszvicu... nie czułeś się nieszczęśliwy?
- Może i odczuwałem ten stan, może i byłem rzeczywiście nieszczęśliwy, ale o tym nie wiedziałem. Chyba dlatego, że pozbyłem się własnego czasu... Czy czegoś pragnąłem? Czy istniała jakaś hierarchia pragnień? Ich zakres w czasie? W każdym razie obca mi była myśl utopijna. Może dlatego, że musiałyby przekroczyć granicę czasu auszwickiego? Czując instynktownie tę linię demarkacyjną, odwracałem się od niej i skupiałem uwagę na mej codzienności. Doskonaliłem ją, świadom jej roli w życiu poety, świadom zgęszczonej historyczności momentów, które kiedyś opiszę.

Intensywność przeżyć uznawałem za coś wyjątkowego, coś co tylko mnie mogło się zdarzyć...

I stąd to poczucie wybraństwa. Stąd pewnie podświadoma selekcja marzeń. Mój ówczesny sennik omijał pojęcia przegrane z kretelem: ojczyzna, konspiracja i miłość.

Łądnym zatonął. Z potopu uratowało się jedno jedyne słowo: mama. I to też oderwane od sanockiego landszaftu, bo ani lipy w obłoku pszczoł muzykujących nad nią, ani murawy oddychającej rumiankiem, tymiankiem... Tylko to słowo, dwie sylaby indoeuropejskie, niemowlęce i mlekiem pachnące, mama.

A miłość? Miłość przybrała formę romantycznej opery. Miałem główną rolę. Z, a każdym razem stawałem u stóp auszwickiej szubienicy, a zamiast ostatniego słowa skazańca, „słałem ostatnie spojrzenie” hen, hen tam, gdzie na balkonie białej willi stoi panna młoda z kielichem szampana. Pije, a raczej wargi umoczy i takie musujące podaje pewnemu panu po trzydziestce... I udaje, że nie widzi, jak tuż za górą

fioletową wstępuję na schody, jak mi kat w mundurze pętlę zakłada...
znowu upije szampana i perlistym śmiechem swego męża obsypie. Ja się
nie liczę. Odpisany na straty. I tu za każdym razem urywam scenę.

To upokorzenie jest moją siłą. Jest moim ulubionym serialem.
Dumnemu tenorowi z Sanoka za każdym razem przyznaję prawo do arii,
zaś akompaniuje mu nasza auszwicka orkiestra.

Schodzę z szafotu na żwir, z niedobrym uśmiechem w kącikach ust.
Alicja na pewno mnie widzi i żałuje. Za późno.

Po wyzwoleniu i później przez pięćdziesiąt lat wstydziłem się swej
kacetowej inności. Bałem się swych oczu napatrzonych okrucieństwem
ludzi wykańczających ludzi, swych uszu się bałem nasłuchanych jękiem
bitych i krzykiem bijących... i ciszą muzułmanów idących o świcie na
druty.

Ale tam... kiedy byłem i żyłem... przypatrywałem się temu wszystkiemu
w imię MOWY. U innych, co się dziś dają fotografować w pasiaku
wyprasowanym na brzytwę i dzwonią medalami, mowa była i jest
wehikułem ich czarnobiałych uczuć. Dla mnie była i pozostanie
najcenniejszym aliażem, który już tam wytapiałem i dziś wytapiam, ja,
hutnik, świadom ziemi spopielonej, świadom nieba zatrutego dymem
Birkenau, świadom słów, które wiążę ikarowym woskiem.

Poza dobrem i złem? Późno dziś na refleksję. A gdybym nawet użyczył jej czasu, byłby to czas anachroniczny, abstrakcyjny wobec tamtego bytowania.

Zwycięzcy uprawiają dwusensowną gospodarę. Tępią nas, ale równocześnie lubują się w przeglądzie tysięcy niewolników...

...jak teraz, kiedy komanda wracają, kiedy kapowie stan liczebny krzyczą; a esesmani na bramie sprawdzają, rewidują, biją i liczą.

Za bramą - piątki już się rozpadają i pasiakami wnet się plac zamrowi!

Ale już biegną i ryczą blokowi, i pod sznur nas ustawiają.

A tu śnieg się puści. Muzo, do melodramatycznych uchybień to zalicz...

Bataliony pasiaków na biało!

Od bramy - stalowy Rapportfuhrer, wyniosły carewicz Palicz!

Dla niego teraz nasza musztra, nasz strach, z którego wynika perfekcja. Znam się na tym. Potrafię ocenić nasze auszwickie parady, gdyż nastąpiły one wkrótce po roku tresury, której byłem poddany w polskiej podchorążówce piechoty. Maskujący swe utykanie porucznik W. wyciskał z nas siódme poty, ale kiedy po kilku tygodniach połykanej wściekłości i poniżenia osiągnęliśmy stan idealnej zgody w trzasku dłoni

o drzewce karabinu, w triumfalnym prezentuuuuuj-broń!... terazniejsze Mutzen ab!, wykonane przez nasz blok, jest takim samym zwycięstwem rygoru i ładu, gestem wykonanym con passione i con grandezza.

I to znowu z inspiracji mężczyzny w mundurze. Tylko oni potrafią nas poderwać rozkazem szczekany i marszem na bęben, że wystarczy para butów bijących o ziemię i ten rytm, ten rytm, co tłum niejednorodny zniewala i scala w balet prostackiego szczęścia.

Miesiące auszwickiego terminowania, żeby poznać zasady życia i śmierci. Z czapką w ręce iść o krok za esesmanem, nigdy na równi z nim; żeby widział mnie swym uczniem, ślepo w niego wpatrzonym, szeregowcem śmiertelnego legionu. Maszeruję. Galernikiem, błaznem przechodzę pod bramą w stroju hańby, w pionowe pasy... Trędowaci, ale nobilitowani przez choreografów z trupią czaszką na czole, maszerujemy, stajemy czekamy...

...jak w tej chwili, kiedy od trzech godzin stoimy na apelu, w krzyku coraz brutalniejszej algebry. Liczą nas i liczą. Nogi nam włożą do dupy i rośnie w nas nienawiść do uciekiniera, zacięta i głucha. Przez niego my i esesmani, zamiast skończyć spokojnie dzionek Boży, mokniemy.

Kapuśniaczek, niemniej pasiaki sztywnieją.

Szukają zbiega. Ogary poszły w... pościg. Słysząc, jak biegną za tym anarchistą, co z ustroju auszwickiego śmiał się wyłamać i arogancko swą

przynależność do innej rzeczywistości zmanifestować! Nie uda mu się. Jeszcze dziś go tu...

Rozpadało się na dobre. Rośnie w nas świadomość czasu pogwałconego beznadziejną głupotą uciekiniera. Już wyczerpaliśmy żarty i powiedzonka towarzyszące takim wyczekiwaniom.

Ruch od bramy. Jest!

Prowadzą debila. Nie poznasz, czy Polak, czy Rusek, taki ściarany i zbity na sino. Jeszcze ma czelność się rozglądać! Ale grunt, że „wrócił”, że rachunek się zgadza. Ulga powszechna. Koniec apelu. Wracamy na bloki. Sztubowi pędzą po chleb i kawę. A my możemy nareszcie się odlać.

I Tadzik sponad ostrej szczyzny.

- Przez takiego, kurwa, analfabetę... trzy bite godziny!
- Jutro kutas zadynda... - mówię, a Tadzik:
- Zgadnij, co ten chuj powie, ze stryczkiem na szyi?
- „Do zobaczenia, koledzy”.

I śmiejemy się, strzepując ostatnie krople, śmiejemy się śmiechem starych numerów, na myśl o zugangu, co się z drewnianą motyką na stalowe słońce porwał.

Powtarzają się apele, wprawdzie nie identyczne, niemniej skomponowane wokół tego samego akordu. Za każdym razem unoszą mnie w jakąś powszechność, w bezlik zebranych anonimowo jednostek. Mój numer już się nie liczy. Jest po prostu słyszalny, jest anonimowym

akcentem powszechnej perkusji. Pod naporem patetycznej tutejszości moje nazwisko poszło w zapomnienie.

Marian Auszwicki. Taki a nie inny przechadzam się po lagrze. Patrę w niebo, na którym budka wartownicza, a w niej Posten. Czuję, że szczeł już czas celi więziennej, czas kisnący w żałowaniu. I że razem z nim gdzieś się podziła moja prywatność. Patrę na jego sylwetkę na tle bezbarwnego nieba. Obaj należymy do niepodzielnej] wspólności auszwickiego bytu.

Objęty formułą „obozu zagłady", chcąc nie chcąc, staję się historyczny. I chyba dlatego godzę się na ubezwłasnowolnienie. Przemierzam lagier od drutów na zachodzie do drutów na wschodzie. Porwany z ładu, na którym białe drabiny wznosiły się pod sam tron Stworzyciela, znalazłem się na wyspie.

Jeszcze dochodzą słowa komendy wehrmachtowców rozbrajających moją kompanię, jeszcze widzę, jak po niskiej chmurze idą bez przerwy na tułaczkę moi republikanie, po upadku Madrytu.

Marian Auszwicki. Nie posiadam już nic poza bankructwem. Posiadam je, jak maniak co chowa do pudełka zapalki wypalone. Patrę teraz na wartownika, otwieram pudełko i wysypuję wszystko.

Jestem mieszkańcem planety Auszwic, która toczy się w swoim czasie suwerennym i nie potrzebuje przyszłości. Jej terażniejszość jest tak intensywna, że miejsca tu nie ma na drobnicę konwaliowych marzeń. Przyjąłem to odrutowane akwarium - za morze jedyne.

Znowu spojrzę na panującego w chmurach strażnika. On też patrzy na mnie. Czuję, że wnikam do jego prywatnego czasu brudem i zarazą, na którą ma jedyne lekarstwo - ogień. Spojrzał na mnie, zadumanego na Birkenstrasse, i zaraz odwrócił się w stronę brzóz, co imię nadają ulicy,

żeby odnaleźć czuły Lied jaworowych skrzypiec syna, Lied co z Heimatu poprzez dymy tu się przedziera, do ojcowych uszu auszwickich.

A ten strażnik nawet nie wie, że ponad dymami z Birkenau, hen, hen, wysoko, siedzi sobie czerstwy Tinguely i majsterkuje. Teraz mój chód świadomy przez Birkenstrasse próbuje przykręcić do smyczkowania syna esesmańskiego i do głowy strażnika. Udało mu się! Funkcjonujemy we trójkę, aż miło! I już nawet dym nam nie przeszkadza.

Nie przeszkadza też mijanym przeze mnie spacerowiczom. O ... tym, na przykład, co teraz przeszli. Ubrania im chyba sam Saint-Laurent szykownie do figury skroił. Pachną jajeczną na boczku. Ich też zmyślny Tinguely do swej maszynerii włączy. I aż ręce zatrze z uciechy, widząc jak mu łatwo, niebieskiemu dadaiście, majstrować te mechanizmy do muzyki kosmicznego wiatru, co wciąż sensu szuka...

w Brukseli, dokąd przyjechałem z Belsen, latem 1945, po uduszeniu ostatniej wszy, już nie w pasiaku, lecz przebrany za alianckiego żołnierza na przepustce - roi się od Polaków i Polek.

Trwają jeszcze hierarchie z czasu okupacyjnego podziemia i obozów jenieckich. W stołówce Domu Polskiego przy ul. Meyerbeer zwroty grzecznościowe zaczynają się od stopnia wojskowego.

To byli żołnierze Armii Krajowej, uczestnicy powstania warszawskiego, którzy przez sześć tygodni prowokowali niemieckiego Goliata, tylko dlatego, żeby „wyswobodzić ukochaną stolicę polskimi silami” i uprzędzić zbliżającą się Armię Czerwoną.

Nadal noszą mundur. Dom Polski „rozbrzmiewa” ich pieśnią. Chóralnie głoszą swą gotowość do boju i ofiary krwi. W marszowych rytmach streszczają epos „walczącej Warszawy”. Są męskożeńskim batalionem,

który zignorował koniec wojny. Nie przyjęli warunków pokoju, który pozbawiłby ich munduru. Cywilna odzież byłaby początkiem końca legendy Powstania.

Dziś, po przeszło pięćdziesięciu latach, ówczesny teatr amatorski, ze śmiercią w roli głównej, może budzić uśmiech współczucia. Wtenczas jednak nie byli śmieszni. Byli częścią zranionej, typowo po polsku zaimprovizowanej Historii. Jakby wciąż stali na barykadzie, wypatrując ekipy telewizyjnej. Jakby nadal szeptem powtarzali rolę: „Jak słodko jest umierać za Ojczyznę”.

A ja? Przy nich byłem nikim. Byłem zbiegiem z cuchnącego zaświata.

Przyszły pierwsze wakacje w wyzwolonej Europie. Paryscy ojcowie dominikanie zafundowali polskim studentom w Belgii pobyt w Alpach. Ulokowano nas w dawnej owczarni, przekształconej w Auberge de jeunesse.

Pamiętam jeden z wieczorów, chyba sierpniowy, bo jarzębiny które Janka i Renia zrywały na krakowskie korale, były już koralowe. Pamiętam ten wieczór. Z ojcem Robertem i bratem Emanuelem zeszliśmy całą grupą nad jezioro. Nocy było nieśpieszno. Zapachy trwały jeszcze dzienne: kamienie i macierzanka. Jeszcze dobrze nie usiedliśmy, a już ojciec Robert, żebyśmy zaśpiewali.

Zawadiacko - dziś po stu latach słyszę tę buńczuczność - rozległa się powstańcza pieśń szturmowa i echem poszła po górach; rąbana wrogowi na odlew i pełna wiary w przyszłość.

Siedziałem skazany na nieobecność, odgradzony od nich tamtymi walącymi się bez przerwy murami Warszawy. Pieśń szła na głosy. Sam Britten chyba dyrygował patetycznym chórem! Renia śpiewała ze swoimi i szarym blaskiem

zaszły jej oczy.

Wstałem. Powoli schodzę do samej wody. Gardło mam sieroce. Ale chłopczyński odruch. Podnoszę płaski kamyk, jak nad Sanem, jeden, drugi i trzeci... „Puszczam kaczki” po tafli rumieniącego się jarzębinowo jeziora. Jakby ten gest kaleczący spokój wody miał mnie wynieść ponad ich łzawy nastrój, jakby łobuzerskie rzucanie kamieni unieważniało magię ich obrzędu, wobec którego byłem poganinem.

Dławił mnie wściekły wstyd. Poczucie dziadostwa. W dziurawych butach stałem wobec „młodzieży z dobrego domu”, nie mając nic do przeciwstawienia ich barykadowej wieczorynce.

Przecież tu, we francuskich Alpach, gdzie już purpurą w pajęczynowych szarpiach zaszedł dzień, nie zacznę sam maszerować z tamtym śpiewam, co mi janczarską pierś rozpierał... Nie ruszę przed siebie ze śpiewem niemieckim, co z wiarą zapewniał, że

Es geht alles voruber, es geht alles vorbei, nach jedem Dezember,
kommt wieder ein Mai...

Śpiewałem tę piosenkę razem z kryminalistami z Dortmundu i Śląska, z zielonymi i czarnymi winklami na piersi; śpiewałem ją z Austriakami, Polakami,

których czerwony winkiel zbladł, poróżowiał, czy nawet szerniał, kiedy wracaliśmy do lagru, z trupami na tragach...

A kiedy nad naszą kolumnę wzbił się blues

Wir lagen vor Madagaskar und hatten die Pest an Bord...

wilgotniały nam oczy. Nie było kapów, Niemców czy Ślązaków, nie było takich czy siakich Polaków... refren

Ahoj, Kameraden, ahoj, ahoj, ahoj!

ogarniał zarówno tamtych, mrących na zadzumionym statku, na redzie Madagaskaru, jak i nas, przekraczających bramę Arbeit macht frei.

Ahoj, Kameraden!

jeszcze dziś, po pięćdziesięciu latach...

Przecież z tą pieśnią spod czarnej flagi nie mogłem stanąć sam naprzeciwko warszawskich chłopaków, co gołymi rękami niemieckie czołgi jak żółwie odwracali, i hej-rób! do Wisły wrzucali, ni naprzeciw

licealistek, sanitariuszek, co gumką z majtek potrafiły kneblować krew buchającą z piersi kolegów.

Oni mówili „walka”, im wspominali „salwę nad grobami poległych powstańców” i „wycieczki na szwaba”

A moje „wycieczki” w Auszwicu? Od drutów na wschodzie, do drutów na zachodzie, tam i z powrotem.

Porównywać? Co do czego? Pieśń do pieśni? Legendę młodzieży idącej na barykadę z tomikiem poezji za pazuchą.., do nas, którym Pan Bóg w żółtych obłokach po żydowskich dzieciach miłościwie królował, i do rytmu naszych kolumn dobrotliwie klaskał?

Było to już w Gross-Rosen. Pewnego pięknego poranka, kiedy przedwiosennym chłodem zawiewało od kamieniołomów, tuż po apelu podszedł do naszego bloku nie znany nam Unterscharfuhrer z papierami w rękę. Pobledliśmy. „Tu też wyczytują na rozwałkę!” Prawda była na szczęście inna. Szło o pobór do komanda Hirschberg. Potrzebowali rzemieślników. Zresztą esesman zaczął od liczby.

- Zehn Mauer... dziesięciu murarzy.

Nic dla mnie. Cegły są ciężkie, jak te kurewskie dachówki... a wapno żre ręce.

- Zwei Autoschlosser...

Też nie. Być jednym z dwóch ślusarzy, odpowiedzialność!

- Acht Zimmerleute... ośmiu cieśli... Jeszcze się waham. A tu się ręka sąsiada podniesie.
- Ile lat praktyki? - pyta kapo Ślązak, towarzyszący esesmanowi.
- Dwa - odpowie pozbawiony elementarnej psychologii inteligent.
- Scheisse! - plunie pogardliwym słowem kapo. - A ty? - zwróci się do następnego ochotnika.
- Całe życie, panie kapo - mówi chłop polski po pięćdziesiątce - Ojciec też był majstrem ciesielskim.
- Gut - uśmiechnie się esesman. Słowo „majster" zabrzmiało przekonująco. Patrzy po nas kapo.
- Jeszcze potra, noo?

Podnoszę rękę i to energicznie.

- Ile lat praktyki?
- Sieben - wymawiam ostro, jak mnie uczyli w polskiej podchorążówce piechoty. Esesman patrzy na mnie i mówi
- Gut.

I tak dalej, i tak dalej... Jeszcze dołączył do nas

M., absolwent warszawskiej Szkoły Handlowej. Jeszcze wybrali doktora i sanitariusza, dwóch medyków z mego krakowskiego uniwersytetu; obu na imię Stanisław! Też z naszej paczki.

Żyło nam się nie najgorzej w komandzie Hirschberg. Dwóch kapów, Sep Austriak, bandzior, z takich brunetów jak kawa po turecku, i Egon, Ślązak, mówiący dziwną polszczyzną z czasów Bolesława Krzywoustego.

Bogatsi, do których stety-niestety nie należałem, płacili im haracz w markach otrzymywanych od rodziny. Również gościli ich obowiązkowo frykasami z paczek. Oprócz naszej piątki uniwersyteckiej komando liczyło kilkudziesięciu autentycznych chłopów i robotników, właściciela ziemskiego z synem, dwóch Cyganów i młodego kieszonkowca.

Młodszemu Cyganowi na imię było Janusz. Opiekował się nim drugi Cygan, o wiele od niego starszy. Janusz był z rodu książęcego. Potwierdzały to fakty: zapomniał o nim piec krematoryjny, paczki zaś, które otrzymywał, były „z dobrego domu”.

Kieszonkowiec pochodził z Krakowa. Miał chyba nie więcej niż czternaście lat. Był piplem kapy Egona, inkasentem okupu, kucharzykiem, jednym słowem - Ganimedesem.

Przed wojną, w ubranku marynarskim, wsiadał w Krakowie do pociągu jadącego późnym wieczorem do Zakopanego. Wypatrywał w pierwszej klasie, gdzie przedział z samotną starszą panią. Raz i drugi uchylił drzwi, za każdym razem grzecznie przeproszał. Budził zaciekawienie. Na koniec, kiedy usłyszał:

- Kogo ty szukasz, chłopczyku? - odpowiadał ze smutkiem:
- Mojej mamy, proszę pani... pewnie została na peronie, bo mój młodszy braciszek zaczął wymiotować...

Dalszy ciąg był logiczny. Samotna dama zapraszała Janeczka do swego przedziału. A kiedy zasnęła, nawet nie poczuła lekkich paluszków, jak ją obrobiły ze wszystkiego, co miała w eleganckiej torebce.

Wysiadał na następnej stacji, gdzie czekali na mikrusa dorośli mojarze.

Na wyznania Janeczka zareagowaliśmy „moralnie”, smutnym potrząsaniem głowy, grymasem niesmaku, a na koniec wyraziliśmy po

prostu niedowierzenie. Że on tak sobie po sleepingach starsze panie rozczula i to tak bezkarnie... i jeszcze się tym chwali! Mitomania sfrustrowanego wyrostka.

Tego dnia zaczęły nam ginąć rzeczy, ołówki stolarskie, metry składane i młotki. Wieczorem,

przed zejściem z budowy, zwrócił nam wszystko

- uśmiechem niewinnego dziecka z międzywojennego sleepingu.

O ile nam, haftlingom, „żyło się nie najgorzej”, o tyle kapo Egon wiódł życie jedwabne. Esesmanów miał w kieszeni... za nasze marki.

Podoficera, Austriaka, bo zwykli żołnierze się nie liczyli. Byli to folksdojczy z Chorwacji, wiejskiego chowu, mówiący kiepsko po niemiecku. I teraz zbliżamy się do dnia, kiedy narodziła się moja muza kacetowa. A jak było, opowiem.

Budowę nowego skrzydła fabryki „wełny drzewnej” w Hirschbergu opuszczaliśmy w południe, gdyż obiad jedliśmy w naszym, pobliskim baraku. Tuż potem wracaliśmy do kielni, młotków i piły. Wtenczas kapo Egon zniknął, czego nie zauważaliśmy. Zniknął w domku, w którym strażnicy mogli sięść i odpocząć. Około piętnastej znowu słyhać było jego

- Looos, looos... - ale były to słowa matowe, pozbawione semantycznie przewidzianej emocji. Bo kapo Egon wracał z... biura, gdzie dwa razy w tygodniu czekała nań anonimowa kochanka. Za płatną zgodą Unterscharfuhrera wkładała się na budowę w czasie przerwy obiadowej, opuszczała zaś „biuro” tuż po naszym odmarszu.

Nadszedł dzień, w którym zostałem włączony do tajnego obiegu miłości. Dzięki poezji.

Esesmani wiedzieli, że piszę. Zawdzięczałem to listom Ariki i mamy, która do paczki dołączała to gałązkę karpackiego jałowca, to piórko sójki z góry klasztornej, a czasem nawet pismo literackie „Das Reich”, żeby syn nie przestawał się kształcić.

Wiedział o tym Egon.

Pewnego wieczoru pipel kieszonkowiec dał mi znak głową, że kapo „chce mi coś powiedzieć”.

Egon siedział w swej izbie. Wskazał mi łóżko Sepa. Po raz pierwszy słuchałem niemieckiego kapy siedząc. Zaraz się wszystko wyjaśniło, bo to nie kapo ze mną rozmawiał, ale mężczyzna zakochany po uszy w miejscowej prostytutce. Zbliżały się jej urodziny, chciał u mnie zamówić Geburtstagsgedicht.

Słuchałem go, potakiwałem i jak on mieszałem polski z niemieckim, akcentując zgodę częstym j a! Już chciałem wyjść, kiedy mnie zawoła.

- Weisst du... sie hat ein Kind... Napisz, że jo bede gut dla tego bachora... Siehst du?

- Ja! - rąbnąłem po męsku, jak mnie uczono w polskiej podchorążówce piechoty, i wróciłem na sztubę.

Przez tydzień można mnie było zobaczyć na budowie, przy ścianie z desek, z młotkiem w rękę i z gwoździem w drugiej. Na odgłos kroków

wbijalem gwoźdź, tyle żeby się trzymał, drugi zaś trzymałem w zaciśniętych wargach. I młotkiem, młotkiem! Dalejże i jeszcze, i jeszcze! No, model sumiennego cieśli. Jeden Egon rozumiał mój manewr, uśmiechał się i zadawał wciąż to samo

pytanie.

- Mariooon, myślisz, cooo.

-Ja, kapo ... myślę.

W sobotę zaniósłem zamówiony wiersz. Zaczynał się od słów

Wer reitet so schnell durch Nacht und Wind?

Ojca z ballady Goethego zastąpiłem Egonem, który nie tylko uspokaja przewrażliwionego malca, ale obsypuje go hojnymi obietnicami. Tym razem Król Olch nie robi krzywdy dziecku; on tylko dla żartu przestraszył bachora. Jest bowiem baronem i jak tylko wojna się skończy przyjmie Egona z synkiem i mamą synka na służbę. Tam też odbędzie się huczne wesele.

Pierwsze wersy Egon przyjął bez entuzjazmu, Nie przypadły mu widać do gustu warunki meteorologiczne, ta noc i ten wiatr... ale już przy drugiej zwrotce roześmiał się, a przy następnych powtarzał gut... gut...

Wracałem na sztubę profesjonalnie dumny, z głową podniesioną, niemniej kołysaną różnymi myślami. No bo stałem się dworakiem, panegirystą złodzieja i sutenera. No, ale jakby nie było, Egon przez dobry tydzień odnosił się do mnie z szacunkiem.

Następnego nocy idę się odlać, a tu w jadalni światło. Kolega grafik rysuje i koloruje laurkę urodzinową, żeby wpisać w nią mój-nie-mój utwór. Nawiasem mówiąc, niedługo cieszył się przychylnością Egona.

Od pewnego czasu z szafek znikła żywność. To resztki cwibaku z domowej paczki, to pajdka chleba odłożona na rano. Sprawca był nieuchwytny.

Pewnego pięknego poranka, tuż po apelu, obaj kapowie staną przed naszą setką rzemieślników rumianych od sudeckiego słonka i Sep warknie.

- Wer hat das Brot gestohlen? - Cisza.

Wtedy kapowie każą odstępy zrobić między dziesiątkami. I co? W oczy patrzą, żeby z nich prawdę wyczytać? Niiiee, oni każą język pokazać. Patrzą i dalej nic. Znowu patrzą... a teraz walą w mordę, na cztery ręce! Ale nie za mocno, żeby więzień równowagi nie stracił. Już na dobre rozeźleni. Sep rąbnie złodzieja w brzuch, aż malarz od laurki we dwoje się zegnije! Tak Egon mu - kopa! w samo przyrodzenie. Leży artysta. Za kołnierz go dźwiga Sep.

- Auf! du polnische Sau! - ryknie.
- Pokoż janzyk! - krzyczy Egon.

Artysta rozdziawił gębę. Język był fioletowy.

Bo w jednej z szafek Sep posypał pajdkę chleba pyłem z chemicznego ołówka. Tak wykrywali kryminaliści złodziei chleba w austriackich więzieniach. Przyłapanego na miejscu dusili. Było to niepisane prawo więzienne: kto kradnie chleb, pozbawia życia, tym samym siebie skazuje.

Śmierć wszy, za to triumf poezji!

Wzorując się na stylu prasy sensacyjnej, tak mógłbym zatytułować ten ustęp.

Był dzień transportu. Jak już wspomniałem odbiór tego słowa był ambiwalentny. Treść wiadomą czy domniemaną odczytywało się z twarzy. Kiedy mówiący mrużył oczy i zniżał głos do szeptu, znaczyło, że mają wywoływać chłopaków według politycznego klucza, żeby ich „wywieźć” ... na jedenasty blok. Na rozwałkę.

Ale to samo słowo przekazane w tonie komunikatu meteorologicznego było po prostu przeciekiem ze szrajbsztuby, informacją o rychłym wyjeździe haftlingów na komando, do budowy obiektów przemysłowych.

Dziś już nie pamiętam, czy bardzo się bałem tego wyjazdu. Prawdopodobnie, jak ongiś kiedy wykładnię terminu transport. Zresztą bardziej niż podróży w nieznane lękałem się utraty auszwickiego obywatelstwa, utraty statusu starego numeru.

Wiedziałem, że w nowym obozie stanę się znowu zugangiem, nomadą, który od nowa będzie musiał zaznać upokorzeń etapu osiedlenia. Bajka... Nadszedł dzień transportu. Czekало nas, jak zwykle, odwszenie.

Rozbieraliśmy się w zaduchu. Jedni siedząc na betonowej posadzce, drudzy oparci plecami o ścianę. I wtedy Tadeusz K.:

- Nie gniewaj się, Marian, ale ja twojego wiersza nie wezmę. Boję się... tu go podrę.

W palcach trzymał karteluszek, trzy miesiące temu zapisany przeze mnie po brzegi pożyczonym ołówkiem. Ułożyłem twarz w maskę „pełnego zrozumienia”, że każdy by tak postąpił, że jasne... I wziąłem wiersz. Ledwie skończyliśmy rozbieranie, esesman otworzył drzwi.

- Rirrauss! Schnell!

Wybiegliśmy, parujący potem, stukający trepami, dzwoniący jajami, za cały strój mając pasek od spodni.

Na środku obszernego przedsionka łaźni, na taborecie stał drugi esesman. Nie wiem, czy nas liczył, czy... bo kiedy go minąłem, zawołał:

- Du, Langer, komm her!

Zawróciłem natychmiast. Stałem przed nim na baczność. A on spokojnie, aż za spokojnie.

- Czy... nie masz mi nic do powiedzenia?

Instykt samozachowawczy? Modlitwy mej mamy? Wyrecytuję mu w odpowiedz:

- Owszem. Zrobiłem coś, czego nie wolno. Ukryłem pod paskiem Geburstagsgedicht, który napisałem dla przyjaciela... On bał się zabrać ten papier...

Esesman z cokołu spojrzy na mnie, ręką wskaże mi drzwi do łaźni, i bez gniewu w głosie, przysięgam, że bez gniewu, rzuci:

- Hau ab! - co bym na polski przełożył słowem „spierdalaj”!

Biegłem, a może raczej biłem skrzydłami lecąc tuż nad ziemią, w piórach niosąc wszy stulone w kłębuszek, nieświadome rychłej śmierci.

A nad esesmanem, który miał prawo mnie skopać na trupa i zmniejszyć stan transportu o siną i sztywniejącą jednostkę... wysoko, na błękitnej chmurze siedział Pan z Weimaru. A tuż za nim na palcach stała pani von Stein i trzymała nad nim ręce w białych rękawiczkach... O, teraz, dłońmi objęła wysokie czoło poety.

Zanim Hirschberg przezwą Jelenią Górą, zdążę jeszcze opowiedzieć historię Władzia Matugi.

Wzrostu średniego, postawy skromnej, oczu me za małych i naiwnie chytrych koloru modrego fartuszka gęsiarki... albo krócej: jota w jote aktor wędrowny z Bergmanowskiej Siódmej pieczęci.

Teraz siedzi w kucki na swej koi i dyktuje mi list do siostry, który tłumaczę, jak umiem, na niemiecki.

Kochana Siostro!

Przyślij mi kilo mąki bielutkiej; kwaterkę masła mi przyślij i kilo cukru... i drożdży kapkę...

- Władziu - mówię - co ty z tym prowiantem chcesz tu robić?

A on się uśmiecha, nawet dość tajemniczo jak na prostego chłopka, i tak odpowie:

- Koleżko... ja to wszystko zamieszę, w ciepłe gdzie za piecem na noc postawię, a raniutko... z pulchnego ciasta bułki wyrobię... Mówię ci, wypiek będzie... że siedem koszów napełnimy, jeść będziemy do syta i już nigdy nie zagłodujemy!

O nic więcej nie pytam, tylko piszę, co mi dyktuje w szczęśliwej malignie. Czuję, że on już nie z nami, w komandzie Hirschberg, że mi tu cudotwórcę struga, przybyłego z krainy, gdzie pieczone gołąbki do gąbki, a płoty kielbasą grodzone.

Pisarska ciekawość mnie pali, żeby mu wykraść zarodnię jego myśli, z której paprocie świętojańskie pióropuszem! Żeby podstępem wyrwać

grzybnię, z której mroki wilgotne tu na światło wyłażą z ust Władziowych, więc pytam:

- A tam, w tej krainie... tam u ciebie... tam

deszcz pada, czy nie pada?

Władziu widzi ten deszcz, bo się uśmiechnie
wrozumiale.

- Pada, koleżko, i to jeszcze jak! A krople ci tam TAKIE! - I dłońmi
próżnię uformuje w jabłko przezroczyste. - Takie tam krople - powtórzy,
widząc moje zadowolenie.

No nic. List poszedł. Po miesiącu przyjechał z Gross-Rosen podoficer.
Przywiózł pocztę. Wywoływał nas i rozdawał listy. Ostatni trzymał
dłużej, niż wymagało odczytanie nazwiska adresata. Wreszcie opuścił
rękę, spojrzał na nas.

- Matuga? - Spostrzegł go tym łatwiej, że wszyscy zwróciliśmy
głowę w stronę Władzia. -Komm, komm!, a kiedy Władziu podbiegł i
stanął przed nim, drżący jak osika, dał mu list, i nie tyle do Władzia co
do nas - Man darf nicht polnisch schreiben... Verboten. I potrząsnął przy
tym głową, że ten gest wcale się nie zgadzał z dopiero co wymówionym
zakazem.

Po wyjściu esesmanów zaczęliśmy się rozchodzić, każdy ze swoim
listem... a tu śmiech Władzia! i zaraz po tym westchnienie, ale tak
głośne, że aż jęk, że krzywda mu się stała.

Nasze głowy nad nim. A on patrzy po nas i już
powraca mu pogoda głupka szczęśliwego. List mi
daje.

— Czytaj, koleżko, siostra nam odpisała.

Biorę list i - nie do wiary!

Kochany nasz Władziu!

Dzięki Bogu zdrowi jesteśmy i tego też tobie życzymy. Słuchaj, co tobie z tym cukrem i mąką do głowy przyszło? Ta ty wiesz, że my tylko kasze jemy i kartofle. A tej kaszy coraz mniej bo ja staremu Fusowi za każdy list do ciebie po niemiecku tej kaszy funt muszę dać. Co tobie Władziu na niemiecki się zebrało. My Polacy. Już więcej do Fusa nie pójde. Ty też pisz po polsku. Niech cie Matka Boska trzyma w swej opiece. Starzy cie ściskają, ja też.

Hanka

Oddałem mu list i już miałem usta złożone do nowych pytań o jego, Władziową dolinę o brzegach z pszenne go chleba, obłożonych gotowanym boczkiem, środkiem której rzeka rumianego piwa, że na klęczki i... ale spojrzałem na Władzia i pomyślało mi się, że jego siostra musi mieć takie same oczy. A za tymi oczami ujrzałem, usłyszałem jej list, jak go tam u siebie na głos układała. I ten jej list popsuł mi zamierzony wywiad literacki. Gdyby nie to, byłbym z Władziem dalej wędrował po Schlaraffenlandach, podglądając i podsłuchując... A tu ta siostra...

Zamiast żeby do krainy, gdzie wszystko na opak, muszę iść za nią do jej wioski polskiej bosej i głodnej. I koniec impossibiliów. Już zając biegnąc nie przewróci dzwonnicy, Wisła się nie zapali, a izba podochocona nie wyskoczy oknem... Na moich oczach Sindbad przemienił się w chłopka zgrzebnego. Koniec metamorfozy. Położyłem mu rękę na ramieniu, słowa cisnące się do ust zaschły mi w gardle.

Było to prawdopodobnie im wunderschönen Monat Mai... bo góry puszyły się szmaragdowym lasem, jak na dzieciennym malunku, a szpaki

przelatywały nad nami tak nisko, że mogłem nieomal pióra policzyć w sprężystych skrzydłach, kiedy wracały z dziobem pełnym różowej karmy dla piskląt. Jeszcze słówko o niebie nad nimi. Było niesłychanie wysokie. I jasne, jasne.

Jedna była orkiestra w Auszwicu, ale funkcje, które spełniała, były różne, dwie w gruncie rzeczy. Pierwsza była zasadnicza, podawać rytm komandom wychodzącym do pracy i wracającym u schyłku dnia do lagru. Muzyka ta, wzbijana czynelami w zaczadzone niebo, przydawała mi ufności. Maszeruj w komandzie Schlosserei, słyszę bęben na czele i lekko przechodzę pod bramą zwieńczoną postulatem Arbeit macht frei, nadal żywy między żywymi.

Do satysfakcji biologicznej dochodził często podziw. Czekając na kogoś, czyje komando jeszcze nic wróciło, stałem przy orkiestrze i patrzyłem, patrzyłem na... bataliony Legii Cudzoziemskiej! Skonani, spaleni słońcem, wracali krokiem ugiętym w kolanach. Szli bez spojrzenia, głusi na rytm czyneli i bębna.

W niedzielne popołudnie w tych samych instrumentach wycichały marsze. Orkiestra przemieniała się w mieszczańską filharmonię; Straussovaniom nie było końca. Te smyczki co raz bodą niebo, to znów niemalże ziemi dotykają... Ten oddech zmysłowy klarnetów. Przymykałem oczy, żeby patrzeć na damy wiedeńskie, walczące w objęciach cesarskich oficerów tuż, tuż nad żwirem, po którym wczoraj chrzęściły buty Żydów europejskich.

Gap nad gapie, przychodziłem tu każdej niedzieli. I, z nogi na nogę, jak bocian - nie tyle uczestniczyłem w koncercie, co patrzyłem na to

wszystko. Ja, polski poeta, przezywający nałogowo swe coniedzielne osłupienie, że ja tuuu! i że coś podobnego na moich oczach!

Jednak myśl, z początku czujna i szukająca sensu, zaraziła się mimo woli ckliwością. Było to winą skrzypiec. Ich jękliwe glissanda, ich majowo kocie mruzcanda napępniały mi głowę jakąś abstrakcyjną emocją, tworząc idealną pożywkę dla marzeń. Wtedy krople rosy na drutach ogrodzenia nabierały urody tęczujących baniek na choince. A trąbki wywlekały mi spod czoła ma-jowe poranki, kiedy kaprale z sanockiego pułku piechoty muzykowali, cyzelowali na mosiężnych trąbkach śliczności maryjne.

Koniec koncertu - powracał czas auszwicki Tak powszechny, że śmieszna wydawała mi się moja jednostkowość. Owszem, nazywałem otaczające mnie rzeczy, cegłę bloków, perspektywę ulicy wiodącej wprost na druty śmiertelne, ale nie odnosiłem tego do mego losu. To były rzeczy. One były sobie, a ja sobie byłem. Przyszłości unikałem. Nigdy, na przykład, nie przyszło mi na myśl, żeby się ujrzeć „na tle mego piętnastego bloku, na pamiątkę”. Sama zgoda na podobną myśl utrwalałą moment oznaczałaby istnienie wiary w rzeczywistość postauszwicką, wiary równie absurdalnej jak nadzieja, że baranowskie sygnety z inicjałami na palcu esesmanów wrócą kiedyś do stadium dentystycznego złota w ustach Żydów.

Muzyka w czasie auszwickim... Przypomniała mi się orkiestra gimnazjalna. Grałem wprawdzie drugie skrzypce, brum-brum... i znowu

brum-brum... niemniej siedziałem na estradzie, w granatowym mundurku pod szyję. Z podwyższenia widziałem ręce kilkuset chłopców i dziewcząt, jak nas oklaskują. Alicja też klaskała.

Takie więc było to moje słuchanie. Zjawiało się imię żeńskie, ciągle to samo, przylepione do falującej melodii, jak listek brzozy do szyby po ciepłej ulewie.

Naraz muzyka urwała się. Zostałem sam, trzymając jeszcze w ręce sandał mej pierwszej miłości, pachnący jej stopą. „Oddaj” powtarza... Gorącym klaskaniem nadrabiałem emocjonalną zdradę koncertujących haftlingów.

- Widzę, że lubisz muzykę... - Skrzypek, dobrze już szpakowaty, patrzył na mnie z sympatią. Zamknął futerał. Spojrzał znów na mnie.

- Skąd jesteś?

- Z Sanoka.

- Z Sanoka... - Uśmiech życzliwy sprzed chwili rozszedł się po twarzy. Patrzył na mnie jakby czujnie, choć może dziś, po latach, takie mi się nasuwa określenie. - Nie znasz tam przypadkiem rodziny Pankowskich?

- Ja jestem Pankowski.

Pobladł.

- Syn Władysława?

-Tak...

Chwycił mnie za rękę, ścisnął je, i głosem pomiętym:

- Mania wołała Władka... bo to był ślusarz pan, z krakowskim szlifem... To był śniady graf z Dalmacji o gęstej brwi nad ciemnym okiem... Gdybyś widział, jak on palce kładł na flecie... A ja? - Wymienił nazwisko, kończyło się na a, Pyrka? Burka? Pękawka? - Podniósł futerał z krzesła. Podał mi rękę.

- Chłopcze, niech cię Bóg wspomaga... Pomyśleć, że mogłeś być moim synem... Nieee - niby się roześmiał - co ja plotę!

Zostawił mnie tam, na żwirze. Bębniasta i czynelista składali krzesła i opierali je o ścianę.

A on się oddalał. Chaplin szedł na lekcję do bogatego ucznia, aż nieprawdopodobny ze swym futerałem tu, w obozie zagłady. Do dziś nie wiem, dlaczego wtenczas opuściłem oczy, za to pamiętam, że pośród szaroburych kamyków ujrzałem jeden jaśniejszy. Zgasilem natychmiast zapalające się w głowie wróżby.

Nie pamiętam, to dziwne... jaka była wtedy pogoda. Czy pachniały młode liście topól, czy też już opadały, jak te we wrześniu. Mama i pierwszy skrzypek auszwicki stali wysoko na podium z gruboziarnistego światła i patrzyli z zażenowaniem na oklaskujących ich więźniów. Wtedy ja, numer 46333, chwyciłem ojca za rękę, żeby i on... ale wiatrem zimnym zawiało od Soły i nie ma już ojca, znikł skrzypek zabrawszy instrumenty, nawet flet barwy brwi ojcowych... Jeszcze widać w powietrzu skrzypce, jaworową szkatułkę na płacze młodzieńcze.

Następnej niedzieli idę w stronę koncertujących pasiaków. Głowę mam pełną mętnych uczuć, przeszłość wymaga przeróbki. Tam, gdzie ufnie przytulony do mamy patrzyłem w miniaturowy katafalk fotografa, zjawił się obok ojca, stojącego za nami, skrzypek o nazwisku na a, z bukietem

sinych róż. I aż za bardzo udaje, że stanął tam wyłącznie jako towarzysz pracy Władysława.

Żwir, żwir, żwir. Są. Orkiestra w komplecie. Stroją instrumenty. Widok pasiaków siedzących salonowo, widok haftlingów zajętych jakąś nierobotną gestykulacją. Uśmiechy, niemal figle...

tu!

Patrzę tam, gdzie skrzypce, wiolonczela i kontrabas. Nie ma go. Zapatrzyłem się w tę nieobecność i naraz usłyszałem suche uderzenia pałeczki dyrygenta. Moment ciszy i Brahms, chyba Brahms, zresztą nie wiem; w każdym razie brzmiało to Brahmsowato i uroczyście. Chwilęostałem, po czym wycofałem się na palcach.

Na Birkenstrasse spacerowano parami. Tu jakoś nie było słyhać żwiru. Może dlatego nic nie słyshałem, że zajęty byłem podglądaniem prominentów? Oczywiście był tam też krajobraz, chociażby brzozy, wpisane weń białością kory... Po pięćdziesięciu pięciu latach tylko tej kory jestem pewien... i to raczej dedukcyjnie niż pamięciowo. Toteż tym razem nie powiem nic o chmurach, dostosowujących swą barwę do pory dnia. Płótna blejtramowego nie pomażę subiektywnym dżemem z płatków róży bułgarskiej. Melodramatyczne? Kiczowate? Et apres...

Hryhory Z., kiedy go poznałem na lagrowej ulicy, był chudym Ruskiem, a raczej Ukraińcem, sądząc po tym, jak wymawiał swe imię. Wpakowali go do obozu, bo uciekł od bauera, gdzie harował na roli, jak przystało na niewolnika. Już nie pamiętam, co nas zbliżyło. Kiedy go poznałem, byłem już starym numerem. Była to może ciekawość początkującego

filologa, plus odruch szczepowej sympatii na dźwięk słowa słowiańskiego?

Z początku traktowałem go ciut-ciut protekcjonalnie, no bo jakby nie było, rozmawiał ze studentem uniwersytetu krakowskiego. Zmieniłem ton i styl, kiedy Hryhory, słuchając mego perorowania i mając naraz dość mego dyskursu dydaktycznego, przerwał mi.

- Tyyyy, ja czytałem Szekspira!

Mieszkał na innym bloku, pracował w innym komandzie... Jakoś przestał przychodzić. Ale dopiero po tygodniu zacząłem się dziwić, a w końcu niepokoić. „Choruje?” I tak upłynął miesiąc, może dwa...

Wracam na blok po wieczornym apelu, z nogi na nogę. Patrzę na tłumek Zugangów w nowiutkich pasiakach. Popędza ich blokowy, jak owczarki biegają wokół nich sztubowi, żeby się nie zgubili w tysięcznym tłumie. Przystanąłem i patrzę na nich z uśmiechem dorosłej osoby, co widzi maluchy chybotliwie próbujące pierwszych kroków. Mijają mnie. Chcę już na blok - a tu mój Hryhory! We łbie ciżba zderzających się sygnałów, bo Hryhory to Zugang! Czyli... jedyny haftling zbieg, schwytany i wpakowany ponownie do Auszwicu, gdzie otrzymał... nowy numer!

Dobrze się złożyło, bo jednym ze sztubowych jest Polak. Podchodzę do niego z Hryhorym, a on spojrzy na mój numer i się uśmiechnie.

- On ci się przyda - mówię, podając mu zamasyście rękę. I zwrócę się do Hryhorego - Ty uczyłeś się niemieckiego, prawda? - A Hryhory

potakuje - Możesz go po prowiant spokojnie posyłać, czy po zupeł. -I znowu ściskam wymównie rękę sztabowego. I półgłosem, że to straszny sekret - Ja ci za mego rękę.

Chyba dopiero po dobrym tygodniu pojawił się mój Hryhory- Padliśmy sobie w ramiona, on coś po rusku, ja po polsku, żeśmy sobie szeptali. Naraz go odstawię i mówię, ale też szeptem.

- To ja, kurrrwa, przez ciebie trzy godziny stałem! - I śmiejemy się, a Hryhory poważnieje.

- Ja już drugi raz tego nie zrobię... - Patrzę pytająco. - Tam... na wolności... ludzie na nas polują... z psami. Ja tam się bardziej bałem niż tu.

Po Auszvicu inne lagry, a tym bardziej komanda, wydały mi się prowincjonalne. Choćby Gross-Rosen. Rozmokła glina oblepia sine głązy. Dopiero cośmy przymaszerowali ze stacji, a już nas gonią. Podnosimy, nosimy, ślizgamy się, gubiąc trepy. Kamieniołom i nic poza kamieniołomem. A ja z wielkiego lagru tu przyjechałem, na to zadupie.

W południe, jaka taka odzipka. Kotłowi z zupą. Znad parującej miski patrzę na wzgórze i las. Tarniny już kwitną. Ziab, że nie wiem. Ni tu sięść, ni się oprzeć, glina, lepkota. Toteż sterczę, patrząc z żalem na nowiuteńki pasiak, ściarany do kolan. A tu naraz górą, po wysokim brzegu, przybiegnie haftling tutejszy. Stoi nad nami i patrzy po nas, na dnie kamieniołomu.

- Chłopaki... jest tu kto z Bobonina? - Cisza Kiwamy głowami przecząco. - A z Maciejowic? - Znowu sprawdzamy i raz wtóry głową, że Maciejowice nieobecne.

Wtedy tutejszak wyciągnie coś z kieszeni.

- Chłopaki, mam tu kilka fajek... ale dla takiego, co...

Nie dali mu dokończyć. Gąszcz rąk w powietrzu, jak na faszystowskim wiecu, okrzyki „tu! tu!”... Wtem jasny, ciepły głos.

- Tu dajcie, kolego, księżulo was prosi!

Szukam dziś po wszystkich kątach pamięci..

żeby zobaczyć gest, ale nic nie widzę. I nie wiem, czy grossrozeniak rzucił księdzu te papierosy, czynie... Za to od pół wieku noszę w myśli tamten moment słabości człowieczej, spoza deontologii kapłańskiej. Orędownik, co wstawiał się za nami u ciemnonolicy Matki Bożej, wzniósł z dna lagru swe błaganie w stronę tronu, na którym w obłokach dymu cygar siedziała rozkraczona ruda kurwa bez majtek, Nikotyna.

Po pierwszym dniu przyszły następne. (Nie oceniam tego truizmu rodem z gawędy). Pasiak dołem wyprałem. Wysechł. Poprzydzielano nas do komand. Nie było tu ślusarni. Esesman nawet nie zapytał o ślusarzy. Bo i po co? Do kamienia?

Wzięli mnie do cieśli. Nosilem deski, z takim samym zugangiem jak ja. Wyciągałem skałki spod skóry, za to obiadową zupę jadłem na budowie, pod dachem, siedząc na pachnących żywicą deskach. Byłem rzemieślnikiem, a nie łopaciarzem od przerzucania matki ziemi z kopca na kopiec,

czyli z grobu na grób.

Po kilku dniach zorientowałem się w stosunkach panujących w komandzie. Już wiedziałem, kto jest autentycznym remiecią, a kto inteligentem przyuczonym do zawodu. No i kto od początku odnosił się do mnie życzliwie.

Rusek. Niepodobny do Hryhorego. Tamten, raczej z teki Egona Schiele, łokciaty aż gotycki, ten zaś był pucułowaty, przerysowany ze słowiańskiej baśni dobrodusznej.

W spłowiej furazerce wojskowej na głowie, w spłowiełym drelichu, śmiał się jasnymi oczkami oswojonego dorsza. Zasympatyzowaliśmy od razu. Może dlatego, że... Nie. Dość uzasadniania, dość wyliczania okoliczności i konieczności, jak gdyby zza chmury chytrego oka przymrużał początkujący psychoanalitik.

Co dzień po kawałku opowiedziałem mu chyba wszystko, o sobie, o rodzinie i mieście rodzinnym; mówiłem, co jedliśmy na Boże Narodzenie, jaki barszcz i jakiego karpia... że na Wilekanoc ucierałem czterdzieści żółtek z cukrem w rumianej donicy że z wujkiem Józkiem nocami kłusowałem, aż hej! wyłapując ze srebrnej sieci wierzgające brzany, a na koniec o tym, jak fiołki zmiąłem w garści, kredy moja ukochana wołała „pójść na brydża”, zamiast wyjść ze mną na spacer w stronę zamku, skąd widok na San i góry fioletowe, tak fioletowe, że aż za ręce trzeba się

wziąć...

Simon S. miał może dwadzieścia lat. Był jednym z kilku tysięcy żołnierzy radzieckich, wziętych do niewoli przez Wehrmacht i

rzucanych do obozów koncentracyjnych. Między innymi do tutejszego kamieniołomu.

- Żeby to do kamieniołomu... Zamknęli nas w tamtych blokach, widzisz tamten rząd bloków, wzdłuż ogrodzenia?

- Jak to „zamknęli”? - pytam.

- Tak, drzwi były zamknięte. Górą, przez okna wrzucali kromki chleba. Skakaliśmy do tych kromek... ale po dwóch, trzech dniach władzę objęli mocni. Tylko oni mieli prawo chwytać chleb, kto śmiał protestować - dusili...

...co rano trzeba było wyrzucać trupy z nocy... Pierwszego dnia udało mi się przechwycić kromkę, ale tylko połowę zdążyłem wpakować do gęby... drugą wyrwał mi sąsiad. Z każdym dniem było coraz gorzej... Nie miałem już sił, żeby się bić o chleb. Tyle, że stałem tuż przy drzwiach. Mogłem oddychać... Ale i tak... cały barak to była jedna ubornia - Widzi, że nie rozumiem słowa, więc dorzuci — Scheisse... Scheisse — I ręką wykona gest, że wszędzie gówna i gówna, że trupiarnia i latryna i że on przy drzwiach, otępiały, że po co żyć...

...Nie powiem ci - mówi - czy minął tydzień, czy nie, a było tak. Rano esesman drzwi otworzy. Nasi wyrzucają trupy, po które przyszli z wozem haftlingowie. Jednego po drugim, rzucają na wóz. Skończyli i już esesman chce drzwi zamknąć... naraz, jakbym poczuł, że i mnie tak jutro rzuca... i że lecę i o dno wozu głową uderzam... I tak mi się siebie żal zrobiło, że wybuchł płaczem. Jakby to było moje pożegnanie z matką rodzoną, z tym słonkiem na niebie... ja, jak malczyk razndałsj!

...Esesman się odwróci. Popatrzy i zawoła:

- Auf! Auf, auf! - I ręką pokaże, żebym wstawał. Wstaję i czapkę zapłakanie obcieram. „Dokąd on mnie prowadzi?” A on mnie, widzisz?

tam zaprowadził, gdzie teraz blok dziewiąty... Wtedy był w budowie... Zza stosu desek wybiegł kapo. A esesman coś mu klaruje, a kapo tylko ja!

jja! Tak się zaczął mój pierwszy dzień... bo to co przedtem, to była cuchnąca noc... W komandzie było wszystkiego dwóch Niemców, reszta sami Polacy, jak teraz... Dali mi kęs chleba i kubek

kawy.

Przez chwilę milczeliśmy obaj. Naraz Simon się uśmiechnie uśmiechem, co aż nie pasuje do tych trupów i kamieni. I słyszę słowa lekkie, jak spod palców wakacyjnej siatkarki.

- Wiesz... później... o wiele później... dowiedziałem się, co ten esesman wtenczas powiedział, kiedy mnie tu przyprowadził. „Kapo, zajmij się nim, z niego będzie dobry cieśla”.

Była to zresztą prawda. Simon S. nauczył mnie szalunku. Pokazał, jak fugę pogłębić, żeby dechę do dechy dopasować, „żeby w baraku nie wiało”.

Opowiadał mi, że jak wybuchła wojna, zanim go Niemcy nie wzięli do niewoli, był enkawudzistą. Opowiadał z dumą, jak stał na bramie, twarzą do robotników wychodzących z wielkiej podziemnej fabryki broni, i rewidował podejrzanych.

Już transport z obozu do obozu był wstrząsem, a towarzysząca mu nagość obrzędu odwszenia wyrażała powrót do punktu zerowego. Ale ewakuacja stanowiła przełom. Opuścić obóz, ruszyć w drogę

wielotysięcznym pochodem pod strażą esesmanów... wszystko to świadczyło o groźnej awarii doskonałego dotychczas systemu.

Było też w tym coś surrealistycznego: cofający się oprawcy wloką ze sobą ofiary. Cofają się w niewiadome, w byle-dalej-od-czerwonych. Ratuja siebie... i nas.

Przeżyłem wtedy dwie noce pamiętne, że użyję słowa dziewiętnastowiecznego, pierwszą na ziemi, na szosie, którą szliśmy, żeby dotrzeć do nie zbombardowanej stacji, do pociągu, mającego nas powieźć na zachód. O drugiej za chwilę.

Na szczęście śnieg przestał padać. Została po nim w powietrzu zapomniana jasność. Pochód nasz rozciągał się, zataczał, po czym wracał do jakiego takiego porządku. Esesmani szli poboczami szosy. Coraz rzadziej słychać było ich looos, looos! Wszyscy byli skonani. Co jakiś czas od czoła kolumny nadjeżdżał na motocyklu oficer. Chyba tylko on zachował początkową energię...

Po trzech godzinach zaczęły padać strzały. Nie, nikt nie uciekał. To wyczerpani marszem muzułmani siadali - i ani rusz! - zobojetniali na lufę przy skroni.

Szło mi się nawet nieźle. Dopingowała mnie chyba dramatyczność sytuacji. Na szosie dotychczas gładkiej pojawiła się jakby zaspą, o... tyle że tyle, jakby ktoś sypnął ukosem wór grysu szarego. Ci, co szli przed nami, rozdeptywali ten śnieg na braję. Bawiło mnie zgrabne stawianie stóp w ślady poprzedników... A tu nagle, tuż przede mną chłopak łapie się za powietrze - i leży!

Podnoszę go, sportowca-pechowca, stawiam na nogi, ze koniec strachu, że facet powie „dziękuję” i pomaszerujemy dalej... a tu czuję, że choć przywrócony do pionu, zostaje mi w rękach, wywraca się... Biorę go pod rękę, nno... idzie. Zwalniam kroku, żeby mógł nadażyć. Cięży mi na przedramieniu, więc trochę go odsuwam, ale on znowu o mnie się oprze. Jeszcze kilkanaście kroków. Bodajcie! Muszę go w pół chwycić, bo jak nie, to rąbnie całym sobą o szosę.

I wtedy za mną, ale jakby z wysoka, głos niemiecki:

- Mensch, bist Du verrückt?! Jak długo będziesz jeszcze mógł go ciągnąć! Chyba, że chcesz się razem z nim przewrócić... Jemu już nic nie pomoże, zostaw go.

Spojrzałem w prawo, Posten podszedł na moją wysokość. Był młody. Spojrzałem na mego słabeusza. Oddychał, jakby chciał zataić szlochanie. Był młody. Rysy miał delikatne. Jeszcze krok, dwa i słyszę z jego ust:

- Kolego, ja już siły nie mam... Zostaw mnie; jak on ci powiedział...
-I oddała się do pobocza,

i zatacza się, a ja nie próbuję go zatrzymać. Przez ramię chciałbym spojrzeć, ale nie potrafię odwrócić głowy, tak mocno wpatrzona w niebo gwiaździste nade mną.

Nasłuchuję czasu, który upływa, wspólny jak nigdy. Strzał. Trzech nas tam zaistniało na jedną, ludzką chwilę. Dwóch nas tej nocy nie zapomni.

Szedłem coraz bardziej sam, kiczowaty wiarus napoleoński, środkiem szosy europejskiej. Teraz kolumna posuwała się w rozsypce. Widziałem, jak rósł chaos. Nie przestrzegano ról. Ten esesman grający naraz człowieka! A do tego młody więzień, powołujący się na rację strażnika! Jeszcze by brakowało, żeby zza horyzontu wyrwała się jakaś gwiazda i

nad nami zatrzepotała gruchającą synogarlicą, a uwierzmy, poczciwi ludkowie, uwierzmy po raz tysiąc i pierwszy, żeśmy pod czułym okiem Opatrzności.

Nad ranem załadowaliśmy się na pociąg. Wagony bydłące stały na przecznicy pod lasem. Dwa, trzy tory puste i inny pociąg. Przepchałem się, żeby siaść w kącie, przy ścianie. Żeby móc plecy oprzeć i odlać się bez przeszkód. Po lewej usiadł suchciel z czarnym winkiem, a o kolana oparł mi

się inny chudzielec; czułem jego żebra, kiedy oddychał.

Ścieżką przy torze kapowie z koszem. Podają naszemu strażnikowi chleby pokrojone cienko, a on kromkę za kromką rozdaje. Ostatnią, jakby

grubszą, sam do ust pakuje.

Z sąsiedniej lory esesman coś naszemu przekazuje, a nasz:

Wer scheissen muss, runter!

Złazę i dopiero teraz czuję nogi opuchnięte. Przykucam i myśl idiotyczna „mroziak, ale blisko zera”, jakby goła dupa gęsią skórką się oblekając, dawała temu wyraz w abstrakcyjnym słupku ręki.

Kucam, choć wiem, że nic z tego nie będzie. Patrę przed siebie i widzę pejzaż poniżony. Stalowe geometrie, rozpięte na dębowych progach, skalane naszą trywialnością. Szlak podróży zablokowany latryną.

I widzę, że kilkadziesiąt metrów dalej na trzecim torze kobiety z wagonów pomału schodzą i też kucają. I to pogwałcenie intymności, ta zgoda na ujęcie w nawias obu wstydu, żeńskiego i naszego, sumuje się w żalony biwak Bożych bydła.

Gwizdek esesmanów. Wstaję i widzę, że ten tu się zatacza, zaś tamten spodni podnieść nie zdołał i bęc! na złam-pysk leci. Ale nikt się nie śmieje. Jakbyśmy pospołu po raz pierwszy ulitowali się nad sobą, nad kobietami i mężczyznami wysypanymi na styczniową ziemię.

Sam nie wiem, jak się wdrapałem do wagonu. Pewnie mi kto pomógł. Nie pamiętam. Spałem kamieniem i obudziłem się dopiero, kiedy pociąg szarpnął wagonami. Ściemniało się, kiedy wyjechaliśmy z przecznicy na główny tor.

Lasy i lasy. Po dobrej godzinie zwalniamy. Jakieś miasteczko, zaciemnione, że tylko latarki kolejarzy migają po peronie. I bez zatrzymania, dalej.

Ledwie odbiliśmy od stacji, bo ja wiem... dziesięć kilometrów, dobiega nas daleka kanonada. Strzały wbijają się w ciszę seriami, dziwnie lekko ją prują; ognie bengalskie a nie artyleria. I wtedy mój sąsiad z lewej, suchciel z czarnym winkiem, chwyci mnie za ramię i głosem, co był zdrowiem i słonkiem:

- Słuszaj Pa-lak... eto katusza pa-jot! Położyłem rękę na jego ręce i razem słuchaliśmy groźnego chóru. Basy cerkiewne, coraz głośniejsze, dudniły nad nami, nad naszym pociągiem i nad pociągiem kobiet.

Z tej drugiej nocy tylko ta metafora mi została, słowo Ruska czterdziestokilowego.

Kartkuj, kartkuj mój album, późny wnuku!

Ten bury bukiet na środku jasnego arkusza?

Z krwi mojej serdecznej ten pigment. Ostatnie

wszy w Belsen wymordowałem, w dniu wyzwolenia.

Był kwiecień 1945.

I wyżywając się estetycznie, ułożyłem krwawiące mną zwłoki, w kształt wielkanocnej pisanki I powciskałem je w ten papier kancelaryjny, że po latach rdza... po wszach i po mnie.

A. przecież był czas, kiedy co rano rozchylałem ciepłe z nocy uda i tak drobniutko tak hojnie krwawiłem za ich pośrednictwem...

Ważę pięćdziesiąt pięć kilo. Za całe mienie - łyżka z nierdzewnej stali i gruzlica.

Pierwsza noc po wyzwoleniu. Czym jest dla mnie „odzyskana wolność”? Jak na razie... końcem trzyletniej rzeczywistości, utratą wszystkiego co osiągnąłem, ja, zdolny haftling, podniesiony do rangi obrońców tradycji kacetowej, przyjęty między tych, co mnie nauczyli pełną piersią śpiewać

In Esterweeeegen waaar ich zwar...

Wtenczas wiedziałem i czułem, że należę do brygady straceńców, a dziś, kiedy umilkła kanonada i przystanęły czołgi, znalazłem się na rumowisku Historii.

Pierwszy poranek po nocy wolności. Ukosem przejść przez plac. A tam zbiegowisko. Podchodzę, i co tu pytać... Leżą. Leży ich siedemnastu, równo poukładana zwierzyna z nocnego uboju. Stąd, gdzie stoję, widać przede wszystkim ich stopy. Nie stopy, ale stopiska ogroooooomne, jak by je sam Permeke z trupiego gipsu w potężnej dzieży wyrobił. A to nie

malarz flamandzki te stopy formował, ale francuscy patrioci swoich folksdojczów w tę noc wolności wyłapali i pogrzebaczem prosto z pieca stopy na śmierć im poprzypiekali.

Dopiero dziś ujrzałem moją chudość, nad basenem, tu w koszarach, przylegających do kacetu. Woda, przed chwilą jak łza, siwieje od mydlin. Spłukuję swój pot nędzarski, a obok mnie golec kościsty namydla się pomału. Widzi, że na niego spojrzełem. Zwolni namydlanie.

- Kolego... - Uśmiecha się i myśli, że mówi. Rusza wargami i głową potrząsa, a na koniec westchnie, ale tak lekko, jakby oddychał samą duszą łąki, na której czerwone goździki, wianeczki ruciane i kare koniki...

Tamci dwaj, jeden drugiemu plecy na stojąco namydlają. A ten tu, niemal mi pod nogami, czerpie dłonią wodę i puszcza ją przez palce, jak piasek. Dzieci. Już nikt na nas nie krzyczy. Nikt pałką nie zapędza pod prysznic kościotrupów

szczękających z zimna.

Świadomość chudości, ale ponad wszystkim poczucie ubóstwa, jakbym stracił tobolek, z

którym prowincjusz, wyruszyłem w młodość... Wszystko przepadło, skarłało, że w dwa palce ująć Pireneje, jak rozklejający się papieros, góry, za którymi już po wojnie, ale wciąż pod moim czołem padają towarzysze, wołając:

No pasaran!

a wraz z nimi na dno tekturowego pudła padają polscy kawalerzyści z ołowianą szabelką.

Mama tam jeszcze coś łapu-capu wrzuci, jakieś listy? czy co. W oczy mi spojrz i powie.

- Nie łudź się... bo ta twoja Alicja... to... szkoda każdego słowa!

Uśmiecham się do dalekiej mamy i tym wymierzonym co do milimetra uśmiechem ją zapewniam, że słucham, słucham, że się godzę z jej zazdrością rodzicielki, co mi pierwszą miłość szarga i z jedwabi, z warkoczy odziera.

Sam słowa nie wymówię, bo mam usta pełne bieluńskiej bułki angielskiej.

Nareszcie wieści z Polski. Że zdrowi jesteśmy, że tatuś się trzyma, że Zygmunt pomaga, tylko że z mięsem bieda. No bo posłuchaj, synku.

Raniutko, a kolejka przed sklepem aż po zakręt. Z furgonetki niosą kosz wołowiny, kosz Wieprzowiny i mniejszy z krakowską kielbasy Ludziska niewyspane, emeryt w emeryta. Taka jedna, co już przy drzwiach, bez przerwy pocieszają narzekających:

- Nie bójcie się, wystarczy, dla wszystkich wystarczy.

A tu trotuarem mężczyzna pod pięćdziesiątkę... nie, najwyżej czterdzieści... On tylko przygarbiony, on tak się trzyma. Idzie wzdłuż ogonka. Zaraz, co on sobie myśli? Ludzie szemrać zaczynają, a teraz już głośno.

- Panieeee, do kolejki!

-Głuchy... czy bezczelny?!

Ludzie łokciami się najeżą, będą bronić wstępu do sklepu. A najenergiczniej ta zamaszysta przy drzwiach.

- Nieee, nie puszczę!

A typ lewą rękę na klamce położy i dopiero

teraz twarzą się do kolejkowiczów obróci. Swe spojrzenie magistra godnością oblekłszy, głośniej

od protestów gromady.

- Zaraz... czy to pani była więźniem oświęcimskiego obozu, czy ja?

Milkną ludziska, drzwi się otwierają, bo święty Sebastian strzały ze swego bólu wyciąga, w wachlarz je rozkłada, że gejsza patriotyczna. Sam Bernini oczy mu ku nieba wywraca. Boże, jak on pięknie potrafi zacierpieć! Tu przed mięsnym sklepem.

Wszedł pierwszy i wyszedł z funtem kielbasy.

Oni tam, w ojczyźnie, a ja tu, na zachodzie. Ledwo oba podobozy w Belsen otrzymały pozwolenie na męsko-damskie odwiedzanie, już pełna par kaplica! Ślub na ślubie i ślubem pogania. Nawet mój strachoput od Geburstagsgedichtu na swędenie różowej żołądzi po katolicku ożenkiem zareagował. A ja, samotnik? Wrócić do Polski? Do dziadowskiego szczęścia?

Ale już znaleźli się tacy, co mają dla mnie i za mnie odpowiedź. Major się znalazł między nami kaceciarzami. Bluzę khaki wykombinował, pasem skórzany się przepasał i nas, pasiakowców, do musztry w

Belsen zapędza! I to takim głosem sprzed wojny. Tak, że znowu maszerowanie i naprawopatrzenie. I w ogóle upolityczniło się powietrze nad wyzwolonym tłumem. Nacje już osobno. Pieśni marszowe słyhać, a najgłośniej rosyjskie. Szumne i gromkie, o tej Katiuszy... Lewa, lewa!

- Dać im replikę! - Zakrzyknie nasz major. I natychmiast odpalamy Ruskom naszą Kasieńką, co wołki pasła za wodom.

- Panowie, trzeba maszerować - mówi - choćby godzinę dziennie... Jeszcze stanu gotowości bojowej Wódz Naczelny nie odwołał! Lewa,

Urywam się z patriotycznego tupania w koło Macieju. A do tego major z tych oficerów, co w latach trzydziestych na posłów w polskim sejmie z szablą w ręku napadli, przedstawiciele chłopów i robotników do twierdzy brzeskiej wtrącili, obóz koncentracyjny w Berezie Kartuskiej założyli i tam „elementy wywrotowe”, bo lewicowe, więzili. A ja - nadal synem bezrobotnego metalowca.

Pamiętam, pamiętam...

Pomiędzy młodymi z powstania warszawskiego, co kilka miesięcy zaledwie w kacecie przekiblowali, tego i owego świat za belseńskim ogrodzeniem kusi. A tu jeszcze zakaz Anglików... prowokujący! Więc pod parkanem z wysokiej siatki lisi prześlizg wygrzebali i skoro mrok — na nocne wychodzą wyprawy. Tuż przed świtem wracają, podchmieleni. Jeszcze butelkę piwa niemieckiego przyniosą.

W tej chwili, na drugim końcu stołu belseńskiej kantyny, uśmiecha się cwaniak taki jeden i ostentacyjnie po kieszeni się klepie. I kiedy ja do kawy skondensowanego mleka „Carnation” dolewam, a potem

truskawkowym dżemem bułkę smaruję, on z kolegami czarną kawą z zarwanej nocy się cuci. Przystojniaczek, że włoskie putti przy nim to brzydactwo, z kieszonki swej koszuli coś wyłuskał i płaską dłonią - pac! na stole położy. A koleżkowie: - Oooo... kurrwa! - i w śmiech.

Rzucę czaplím okiem, a tam dwie obrączki złote. I cały nasz stół patrzy wesołymi oczami, bo nowa żeniaczka się zapowiada! A tu szpakowaty nauczyciel wstanie od stołu i do blondynka. - Chłopcze... ty się Boga nie boisz?! Jakaś ty mógł?! Żołnierz??!! Ty rabuś, a nie żołnierz!!! Blady, roztrzęsiony. I głową potrząsa.

Dopiero teraz pojąłem. A nauczyciel po nas patrzy. My mu wprawdzie potakujemy, ale tyle że tyle... Owszem, należało zganić, ale może nie aż tak...

A młodzi w śmiech. Śmieją się swym śmiechem wspólnicznym spoza dobra i zła. A teraz koleżka blondyna filiżankę na wysokość głowy podniesie i resztę kawy po...ma...łu na stół leje i patrzy bezczelnie, jak ciemny płyn na nas bryzga. Postawi filiżankę, po czym tak przemówi:

- Staruchom Szwabom znudziła się miłość... i nam... jak w tej sztafecie pokoleń... te obręcze w upominku dali... Osiemnaście karaciaków, że mucha nie siądzie! Nie wypadało odmówić.

I nowym śmiechem w nas luną.

Wstają, krzesła nogą odsuwają i tym odsuwałem rumor czynią, aż się Angielka od drzwi na drugim końcu sali odwróci.

Zanurzyłem nos w filizance, żeby nie musieć patrzeć w oczy nauczycielowi.

Nazajutrz, w kolejce po danie mięsne. Zanim kucharka przyłoży mi łygę piure do gulaszu, słyszę kierowniczkę za jej plecami.

- Pod pięćdziesiątkę... samobójstwo. A taki ułożony Kucharka wesoło:

- Pani kierowniczo... młodzi mówią, że "dziadek list od żony dostał i że ona mu podobno dziękuje za pięcioletnie mężowanie... korespondencyjne"... I że to go, jak się to mówi, „pchnęło do rozpaczliwego kroku”.

Mój talerz naraz ciężki od ołowianego piure.

Pierwszy tydzień jeszcze nie minął, a tu zmiana losu nieoczekiwana. Oficerów mają przenieść do pobliskiego oflagu. Jutro kolej na nasz blok. Spisują zawodowych i rezerwistów. Jest nas dwudziestu sześciu oficerów i ja, jedyny podchorąży. Poparł mnie Bogdan, kapitan broni pancernej. Zabajerowałem, że uniwersytet krakowski, że literatura; tak ze wzięli mnie na listę.

Spałem z jednym okiem na warcie, bo a nuż wyjdą w nocy beze mnie... Wyruszyliśmy tuż przed ranną pobudką. Najpierw do magazynu. Po raz pierwszy od lat zapach rzeczy nowych, mundurów prosto z naftaliny, butów pachnących, jak na odpuście, garbnikiem i rzemieniem juchtowych sznurowadeł. Ledwie zapiał bluzę battledressu - gorąc! bo to prawie maj.

Takich trochę sztywnych, spoconych, ale jak spod igły przekazał nas magazynier drugiemu Anglikowi. Ten zaś, nawet nie tak bardzo piegowały, dał Bogdanowi papier z marszrutą i kompas malutki. Wyszedł z nami za bramę obozu, rękę Bogdana uścisnął, zasalutował i dobrej drogi nam pożyczył.

Idziemy. Na razie przez opustoszałą dzielnicę domków z ogródkiem, gdzie teraz za jedynych mieszkańców karzelki z gipsu, w pokrzywach po

brodę.

Jeszcze jakiś stadion z bramą wywaloną przez czołg, a za stadionem - wrzosowisko, aż po horyzont. Poligon. Piasek i osty. Krzaki wrzosu zdrewniałe i osmalone od wybuchów.

Plan mamy dokładny. Posuwamy się zresztą drogą, którą przetarły łąziki. Biegnie środkiem garbatej równiny. Pofalowana tu ziemia. Już chyba godzina, jak oddychamy skwarem.

- Panie kapitanie! Ktoś woła! - Najdłuższy z nas ciągną Bogdana za rękaw - tam, tam! - i wskazuje wzgórze.

Na górcie - może kilometr? - stoi żołnierz i macha do nas ręką, a teraz ją wznosi, że "stop!".

żeby zaczekać.

Widzimy go, jak się przedziera przez janowce i wrzosy, jak znika i znów się wynurza, a teraz staje, zziębnięty i czerwony, w koszuli khaki. To prawdziwy żołnierz angielski, z lornetką na piersi. Pewnie podoficer... Przedstawia się. On z obsady ponemieckiego bunkra. Zaintrygowali go - mówi - „żołnierze angielscy... idący w rozsypce” Bogdan klaruje mu, cośmy za jedni. Wyspiarz coraz szybciej potakuje. Jakby przejęty informacją, daje nam znak, żeby usiąść i poczekać. A sam na przełaj, przez chaszczę, do swej jednostki.

Po kwadransie wraca z drugim. Tamten chyba prosto od golenia, bo ma jeszcze grudkę piany pod uchem.

Stoimy półkolem, a oni z chlebaków, co im na krzyż dyndają, wyjmują puszki i puszki, płaskie i grube, z czerwonymi etykietkami i bez etykietek, aż blacha w oczy razi. I chleby. Śmiejąc się, ten od lornetki klucz do otwierania konserw Bogdanowi wręczy.

Nasz kapitan dziękuje w eleganckich słowach, że nawet to i owo rozumiem. My zaś uśmiechem od ucha do ucha do tych podziękowań się przyłączamy. Poszli, a tu pytanie: teraz to wpieprzać, czy w południe? Poruszenie, szemranie, bo są tacy, żeby już. Głosujemy. Kapitan wsparł grupę tych, co wolą zaczekać. I tonem łagodnej perswazji.

- Panwie koledzy... przecież nie będziemy o dziewiątej rano... zasiadać do obiadu.

Ruszyliśmy więc i idziemy, idziemy - jak w baśni opowiedanej przez ojca żartownisia - idziemy idziemy... A tu ani kaliny o liściu szerokim i koralach w sam raz na dziewczęcą szyję, ani brzozy słowiańskiej, żeby nad nami szumiała i od spiekoty nasz oddział osłaniała... Obcyśmy tu, obcy. Nijacyśmy, nijacy, poprzebierani za żołnierzy brytyjskiego imperium. Pocimy się karnawałowo, Polacy, Polacy, ze zdziesiątkowanych pokoleń. A tu skwar, klepsydry słycać, jak przesypują suchy, gorący piasek. I cisza, że naszą obcość tu słycać, bijącą smutnym sercem.

Znowu trzeba przystanąć, bo bibliotekarz bidula jakoś z trudem dotrzymuje nam kroku. Ja też się zmachałem, toteż z ulgą witam gwizdek kapitana.

- Panowie, zejdziemy z drogi na tę polankę, żeby odpocząć i się posilić... Godzinka, nie dłużej.

Piach suchutki grzeje w dupę, aż miło. Zapach otwieranych konserw. Corned beef, plasterek na kromkę białego chleba. Pałaszujemy. Majówka, nie wojna! Na deser po talarku ananasa ociekającego syropem. Lekko na duszy. Ten, co wołanie Anglika z górki usłyszał, wstaje i odlewa się za najbliższym janowcem. Kapitan podniósł puszkę.

- Panowie... ostatni płatek ananasa... komu...

Jeszcze nie dokończył zdania z oczekiwaną intonacją pytającą, a tu ci rękę podniesie siedzący obok niego dryblas.

- Może ja bym tę resztkę otrzymał? Jestem w pewnym sensie waszym opiekunem duchowym... kapelanem?

Nim kapitan otworzy usta, słyszę siebie twardo cedzącego słowa.

- Panie kapitanie... może by raczej koledze — i wskażę bibliotekarza - żeby mu się szło weselej... - i na uśmiech się, kurrwa, siłę, że to tak żartem, a nie żeby koledze dryblasowi od poświęcanej kiełbasy wielkanocnej grubo opłatek z łakomej pai wydrzeć.

I wszyscy, jak ci nie zaczną mi przytakiwać, że jasne, że tak będzie najlepiej. Nawet jary wikary szczerze się do grona dobroczyńców przyłączył. No, jednomyślność!

Ale komu w drogę, temu czas. Bo jakby nie było, mamy jeszcze ładnych dwadzieścia kilometrów przed sobą. A mnie po tym poczęstunku i po tym ananasiu dziwnie lekko. Lekko i ochoczo. Pod adresem kapitana ręką znak uczynię, że w krzaki zajdę. Kiwnął, że mogę. Daję im odejść,

a sam za ten janowiec puszysty. I przykucnę. Piasek już pryska pod sikiem, a mój sik coraz cieńszy... i cooo? żołądz zesuwa napletek i po raz pierwszy od trzech lat... się panoszy! Obejmę ją dłonią czule... I naraz wszystko zacznie wirować. Poligon rumieni się od moich policzków - bo ja nie sam. Arika w ciemnozłotej sukience bez rękawów gałąź bzu mi przygina, żebym rwał... a ja zamiast po kiść sięgnąć turecką, wacham pod pachą jej Sambucus nigra czarnofioletowy! I skądś naraz mam klucz do bramy, przez którą wpada burza czerwcową i ulewą dreszczów - na mój piorunowab! Aż ziemia pode mną pełna źródeł wierzgających! Liczy je gorąco moja skroń, jąka się i gubi rachunek...

Ni to szczęśliwy, ni zawiedziony, patrzę ślepią jeszcze źrenicą na krople w zakłaskie dłoni, mieniające się jak opale w maminym kolczyku.

Pachnący sobą, w stronę oddziału. Najpierw tylko ich ślady na piaszczystej drodze widzę. Zakręt. "Są". Wloką się pod górkę. "Przyśpieszyć".

Dobrze mi się idzie. Już ani śladu z melancholii,

co mnie przed chwilą nawiedziła. Wystarczyło, żebym porównał ich łązęgę z moją sprawnością, z moim krokiem... „Co oni mają na głowie?” Jeszcze sto metrów i już się wyjaśniło. Każdy z nich cztery supelki zrobił na chusteczce i łepetynę od słonka osłania. „Jeszcze po worku z cementu im dać, żeby sobie trójkątne hełmy powycinali.! Muzułmany!”

Nie pcham się do przodu, idę z tymi, co zamykają pochód. Kapitan stanie. Spojrzy po nas i z udaną beztroską.

- jeszcze dwa kilometry.

- Z hakiem, czy bez haka? - Zapyta taki, którego dotychczas nie zauważyłem. Nie do wiary, przecież był i jadł z nami, chyba że siedział po mojej stronie, skoro go nie zapamiętałem.

Kapitan uśmiechnie się, ubawiony, i niby palcem pogrozi.

- Z... haczykiem - I ręką ciachnie powietrze, jak Spartakus w swoim filmie, energicznie wskazując kierunek.

Aaaa... z górki już widać jakieś osiedle, jakby zielone przedmieście? Nawet jakiś komin. Kapitan plan rozłoży. Otaczamy go; okazja, żeby przystanąć.

Na prawo... trzeba - mówi - „wzdłuż rowu melioracyjnego”.

Idziemy. Rów jest, ale do cna wyschnięty; nawet mięta błaga o deszcz, stuliwszy listki przy łądydze. Teraz kapitan podniósł rękę. Staął.

- Panowie, za chwilę wejdziemy do oflagu,

Mam zameldować polskich oficerów... Proszę kolegów, żeby mundury, jak do raportu... i w ogóle...

Niechętnie wdziewanie bluz, zapinanie guzików. A tu już ulica. Jeszcze w lewo. Aleja. Kasztany po obu stronach, kiście na sztorc gotowe do rozkwitu. Aaaa... to tam, gdzie to wysokie ogrodzenie kolczaste i budka strażnicza. Jakby pusta?

- Panowie, wyrównać... Lewa! lewa!

Ujęci w karby komendy, zbliżamy się do bramy, a tam nikogo. Ani śladu wartowni i wartownika. Aż nam głupio z tym marszem na ostro i z tym pozapinaniem na ostatni guzik... Tym bardziej że za bramą - wiara

do koszuli rozmamłana. Ten się opala, a tamten przeprane podkoszulki i gatki równiutko na zrudziałym trawniku rozkłada.

To i my rozluźniamy szyki, żeby w oczach oflagowców naszą sztywnością się nie ośmieszyć.

Tyle, że bluz nie ściągamy. My przez bramę, a w tej samej chwili z baraku wychodzi elegancki oficer, major, szpakowatymi puklami zaczesany na markiza. I już ściska rękę Bogdana. A nas dłonią wzniesioną pozdrawia i daje do zrozumienia twarzą jakby prosto z koktajlu, że dość już tego rygoru.

- Witam... panie kapitanie... wiem, wiem... major Koń-Drałowicz, odebrałem telefon... dwudziestu siedmiu panów, prawda? Proszę tędy... Macie panowie całe skrzydło dla siebie, po kolegach Francuzach... Pysznice naprzeciwno... Ewidencją zajmiemy się potem.

Prowadzi nas środkiem długiego baraku. Drzwi po obu stronach pootwierane, żeby jaki taki przeciąg stworzyć.

- Kolegi Żelazińskiego, jak panowie widzicie, chwilowo nie ma... - uśmiechnie się, jakby żałował - to dzień jego prania. Oooo... to nie banalne pranie! Kolega Żelaziński gęsie pióra pierze i na słońku wybiela, potem nożycami z ziemskości je wyzwała... i do podchmurnej orłowości sposobi.. Proszę spojrzeć na ściany. Aż biało od modeli ptaka niebosiężnego! No? Proszę się lepiej przypatrzeć... Nie zauważacie, panowie? Ko-ro-na! Ona polska! Model zaproponowany przez kolegę Żelazińskiego jest sakralny. Nie będę panów obrażał, podpowiadając, z którego sanktuarium nasz artysta czerpał swe heraldyczne inspiracje!

W następnym pokoju facet w pidżamie sprane do niekoloru siedzi przy stole, wyraźnie zadowolony. Klasnął w ręce, zachichotał. Karty odwraca. Pasjans mu wychodzi, jak ta lala!...

Znowu pokoje puste. Jest. Pokój zaludniony.

Krótki może półtorametrowy oficer siedzi na podłodze, otoczony skrzynkami, blaszanym, pudłami... Jak na komendę, przyśpieszamy kroku.. bo z izby jedzie nie balsamem, nie migdałowym olejkiem, ale stęchlizna, fetorem zgnilizny!

Nasz cicerone widzi, że twarze zmarszczyliśmy i przestaliśmy oddychać, uśmiechnie się i z

odcieniem dumy.

- Pułkownik Paserski... był wiceministrem aprowizacji w ostatnim rządzie, w 39-ym... Zadęcie naukowe! Pleśń studiuje. Pragnie dociec, skąd się pleśń na świecie wzięła. Dlaczego sprzętom, owocom świeżość odbiera? Innymi słowy - skąd jesień, co pleśniami dąbrowę urody pozbawia? No nic, idziemy dalej.

Teraz major przewodnik palec na ustach położy i w chwili, kiedy mijamy drzwi otwarte, tym razem po prawej.

-Dzień dobry, kolego Zimowliński!

Oficer siedział przy stole. Krawiec? Bo płat materiału zwisał, jakby z deski do prasowania. W ustach trzymał igłę z długą przedzą. Skinął nam uprzejmie głową. Kiedy mineliśmy pokój, elegancki major przystanie. I półgłosem.

- Porucznik Zimowliński jest wynalazcą. Czeka go sława... no i wdzięczność pokoleń... Lada dzień zaczną starania mające na celu opatentowanie "wełny perswazyjnej". Szyje i szyje. - Widzi nasze

niepojmowanie Chodzi o chemiczną obróbkę futer i tkanin wełnianych, które porucznik Zimowliński wyposaży oprócz tego! w splot ukośny istna pułapka... oczywiście po uprzednim nasyceniu materiału zimowlitem, arcy płynem swej koncepcji. Mole, jak to mole... rzucą się na wspomniane rodzaje odzieży... Ale... ale, jeszcze nie zaczną swego dzieła zniszczenia, a już poczują dziwny niesmak. Ogarnie je istny wełnowstręt! Popłoch w szeregach skrytożerców!

- jak ich nazywa porucznik Zimowliński. - Popłoch i odlot paniczny! Z szaf z ubraniami, spod kobierców puszystych, co ucztę molową zapowiadały... chmurą się wzbiją motyle nocy... i na oślepi! bo w dzień! w stronę okien. Do szyb się dobijają! - Patrzy triumfalnie. - No, dość zachwalania miejscowych osiągnięć. Idziemy dalej.

Idziemy. Jeszcze kilkanaście kroków. Teraz korytarz się rozwidła. Już, już mam z nimi skrócić w stronę skrzydła przeznaczonego dla nas,

kacetowców - a tu głos

jakby od zawsze mi znany:

- Ratuj się! Wal na wprost!

Tu tylko mole, ramole i

wielmożnym dziadostwem

nadęte tarabany!

Biegnę na zachód, miasta wiwatują.

Panie z oficerami balują
na Grand Placu w Brukseli.

Oni skoczem zalatują
i gumę zieloną żują;
oni z nieba sfrunęli,
zza oceanu przyplłynęli.

I gdzież tu miejsce na mój taniec?

Na mój krok auszwicki,
co trepem, trepem, taaak!

Bo ja siny uratowaniec...
spod ciał braci odwalony,
odmyty dzisiaj z ich popiołu,
idę i niosę swego trupa,
sina zakładkę
do ksiąg tego wieku.